Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł — 8 stron | Warszawa, 19 października 1952 r. | Nr 42 (134) Rok III

Jesteśmy z wami

Ilość czasu, którą zwykliśmy poświęcać co dzień na czytanie gazet, w ciągu tygodnia, który minął, okazała się dla wszystkich nas na pewno niewystarczająca. Nie był to bowiem zwykły tydzień. Nie były to bowiem zwykłe gazety.

I ów czas przeznaczony na lekturę gazet musieliśmy w zeszłym tygodniu wszyscy rozszerzyć, i nie było na pewno nikogo, kto by tego nie uczynił, kto by z zapartym tchem, od deski do deski, nie pochłaniał owej otwartej nagle przed nami księgi historii: historii czasu, w którym żyjemy, i czasu, który nadchodzi.

Czytając zwykłe gazety, z każdego innego tygodnia, pomnażamy naszą wiedzę o świecie stopniowo i niepostrzeżenie. Docierają do nas ułamki, okruchy tego, co dzieje się wokół nas, blisko i daleko. Trzeba umieć je łowić, kojarzyć, trzeba umieć budować z nich obraz historii. Sztuka czytania gazet nie jest łatwa, jeśli ma być owocna i pouczająca.

Ale czytając gazety z zeszłego tygodnia, które na swych kartach o gwałtownie zwiększonej objętości przynosiły nam treść referatów i przemówień wygłoszonych na XIX Zjeździe WKP(b) mieliśmy to poczucie, że oto nagle obdarzono nas wiedzą o wiele większą, niż ta, do której umielibyśmy sami dojść po długiej, kilkuletniej, najpilniejszej nawet lekturze gazet.

Czuliśmy się nagle obdarzeni wiedzą ogromną, syntezą dziejów, samą esencją ich treści.

Czyż genialna praca Stalina „Ekonomiczne problemy socjalizmu ZSRR" nie jest dla nas jak gdyby nagłym wspaniałym błyskiem reflektora rozwidniającego dzieje?

Czyż referat sprawozdawczy Malenkowa, owa rozumowana mapa wiedzy o współczesnym świecie nie stanowi tej wielkiej lekcji historii, którą tylko nasz świat, świat socjalizmu z rozumną hojnością obdarza wszystkich obywateli?

Tylko nasz świat nie zna „wiedzy kapłanów", strzeżonej przed tłumem, tylko w naszym świecie jest możliwe takie udostępnienie każdemu, nakreślenie z przenikliwą jaskrawością perspektyw powszechnego rozwoju.

Czytamy — i wiemy. Czytamy — i rozumiemy. Ogarniamy całość. Czy ogarnia ją ogłoszony stekiem piramidalnych bzdur, zatruty czadem nieludzkich bredni czytelnik prasy kapitalistycznej? Czy rozumie cokolwiek ogłupiany hałaśliwie i systematycznie? Czy może odczuć to, co my odczuwaliśmy, czytając słowa sterników naszej wielkiej, wspólnej sprawy — ową rozsadzającą piersi dumę, że i my, Polska Ludowa, mamy w tym swój udział, że gigantyczne osiągnięcia i gigantyczne plany Kraju Socjalizmu to także i nasza przyszłość, zwiastun, wskaźnik i oparcie naszych wysiłków, naszych planów?

„...W europejskich krajach demokracji ludowej, mimo że ucierpiały one wskutek wojny znacznie więcej niż kraje kapitalistyczne Europy zachodniej, przedwojenny poziom produkcji przemysłowej został przekroczony w roku 1951: w Polsce — 2,9 raza..." (Malenkow).

„...Mówiąc o naszym zwycięstwie nad siłami faszyzmu, nie wolno pominąć faktu, że do wywalczenia tego zwycięstwa wniosło swój wkład, obok Armii Radzieckiej, okryte chwałą Wojsko Polskie..." (Bułganin).

Tak mówią o nas — oni. Mówią z szacunkiem, z dumą, z radością. Cieszą się z naszych osiągnięć. Nie tak mówili o nas „przyjaźni" nam politycy zachodu...

I dlatego właśnie my wiemy najlepiej, ile prawdy naszych serc zawartej było w słowach przewodniczącego Państwowego Komitetu Planowania ZSRR Saburowa, kiedy mówił: „Masy pracujące krajów demokratycznych powitały z zadowoleniem pięcioletni plan dalszego rozwoju potęgi gospodarczej ZSRR. Widzą one w nim niezawodną gwarancję pokoju na całym świecie i realną przesłankę dalszego utrwalenia i rozszerzenia stosunków gospodarczych między ZSRR i krajami demokratycznymi. Dla uczczenia XIX Zjazdu partii robotnicy i chłopi krajów demokracji ludowej podjęli zobowiązania w dziedzinie wykonania i przekroczenia swych planów gospodarczych".

To prawda, towarzyszu Saburow, to prawda towarzysze z XIX Zjazdu! Podjęliśmy zobowiązania i wykonamy je! Jesteśmy z Wami!

Ryszard Matuszewski

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

DESZCZ PADA Z NIEBA NA ZIEMIĘ

Kilka dni temu do mieszkania jednego z wybitnych działaczy demokratycznych zapukał gość. Przybyły — równie jak gospodarz — należący do grupy naszej inteligencji twórczej, znany jest bardzo dobrze z szeroko reklamowanych przekonań określanych jako liberalno - burżuazyjne. I oto gość zwrócił się do gospodarza z przemową mniej więcej tej treści:

— ...budujecie rzeczy nowe. Tworzycie nowe społeczeństwo. Ale dlaczego czyniąc to używacie starych słów i określeń. Dlaczego nazywacie wyborami akt publiczny, który według dotychczasowej nomenklatury wyborami nie jest. Wybory mogą być tylko tam, gdzie są rozmaite listy dane ludziom do wyboru. Gdy jest tylko jedna lista, lista Frontu Narodowego, tam nie ma wyborów...

Taka rozmowa toczyła się przed kilkoma dniami w jednym z dużych miast wojewódzkich. W tym samym czasie w Warszawie młody poeta, syn robotnika, miał wygłosić na posiedzeniu przedwyborczym Frontu Narodowego, kilka swych wierszy. Lokal komitetu okręgowego Frontu Narodowego mieścił się w szkole. Podchodząc do wejścia młody poeta został zaatakowany przez bandę chuliganów politycznych, przejawiających zgoła niedwuznaczne zamiary. Młody poeta zdołał się wyrwać napastnikom, odepchnął któregoś z bandytów i wskoczył do gmachu szkoły... Młody poeta napadnięty został dlatego, że wiersze, które miał wygłaszać — i które wygłosił w chwilę po napadzie — były wierszami agitującymi za Polską Ludową i Socjalistyczną.

Szkoda, że liberalno - burżuazyjny intelektualista z wojewódzkiego miasta nie był świadkiem napaści, dokonanej na młodego poetę. Albowiem wtedy mógłby swe pytanie postawić zarówno napadniętemu jak napadającym. Ich odpowiedzi, a bardziej jeszcze ich uczynki, byłyby mu może najdobitniej uwierzytelniły zasadnicze prawdy naszych wyborów. *Wyborów* — mimo wszystko, co liberalny burżuj chce o nich powiedzieć.

ZABAWA W DURNIA

Bądźmy szczerzy! Nierzadko słyszymy w środowisku inteligencji argumenty podobne do przytoczonych na początku. Co dzień powtarzają je przeróżne „Głosy Ameryki", „BBC", „Wolne Europy" i wszystkie inne rozgłośnie świata kapitalistycznego, których rola w zimnej wojnie przeciw nam prowadzonej jest czołowa. Ich spikierzy o *jedną* listę Frontu Narodowego pytają się z głupia frant; a niejeden ze słuchaczy powtarza to pytanie zupełnie szczerze, wierząc dogłębnie, iż istota „demokracji" poleg tylko i wyłącznie na wielu wyborczych listach. Powtarza — i robi z siebie zwyczajnego durnia. Kapitalistyczni agenci od propagandy chcieliby grać z nami w takiego durnia. A nuż uda się kogoś nabrać na te listy!...

Odrzućmy frazesy i zastanówmy się przez chwilę nad różnorodnością list w wyborach do parlamentów w Polsce w latach 1919 — 1939. W istocie! było w czym wybierać! I BBWR, i PPS, i S.L., i S.N., i niemało przeróżnych list pomniejszych. Nawet w wyborach bojkotowanych przez tak zwaną opozycję, tych z roku 1935, czy wyborach, gdzie opozycja była odsunięta, tych z roku 1938, też mieliśmy kilka grup wysuwających swych kandydatów. Zaiste można było wybierać między rządami Piłsudskiego, Dmowskiego a Witosa. Wprawdzie... tylko teoretycznie, bo Piłsudski ani jego następcy nie byli — w razie wyborczej klęski — wcale skłonni ustępować, ale wybierać można było. I wybierano... wybierano mając absolutną gwarancję, że te wybory bez względu na swój wynik nic nie zmienią w życiu ani narodu, ani państwa. Tu już słyszę szept: no, tak! W Polsce sanacja fałszowała przecież wybory, ale we Francji czy w Anglii, gdzie w istocie kartka wyborcza decydowała o władzy, gdzie po „socjaliście" obejmował stolec premiera konserwatysta, a po nim znowu socjalista, bo tak głosowali wyborcy...

Rzeczywiście po „socjaliście" przychodził konserwatysta. Po Mac Donaldzie przychodził taki Chamberlain, czy odwrotnie. Po Blumie sceptr wadzy ujmował Daladier. I co...?

Nic się w ustroju państwa, nic się w życiu narodu nie zmieniało. Zdawałoby się, że „socjaliści" i konserwatyści powinni mieć programy tak sprzeczne, tak różne, iż objęcie rządów przez jedną z tych grup po drugiej, oznaczać by musiało wielką, zasadniczą rewolucyjną przemianę ustrojową, gospodarczą, polityczną... A tymczasem... Broń Boże! Właściciel fabryk mógł śmiało głosować na „socjalistów". On wiedział dobrze, że nic mu oni w jego majątku i w jego pozycji socjalnej nie zmienią. Czy sądzicie, że zmieniłoby się położenie chłopów na wsiach, robotników w miastach, właścicieli kopalń, banków i hut, ba! nawet Żydów, gdyby zamiast Piłsudskiego rządził Dmowski czy Daszyński? — Wszystko by pozostało identycznie takie same. Tylko w szkołach mniej by uczono o Legionach, a więcej np. o Hallerze, i tylko w urzędach państwowych wisiałyby inne portrety. Zresztą... zrozumieli to w pewnej chwili nawet sami sanacyjni legioniści. W jakiej chwili? Ano w bardzo ważnej. W pierwszej połowie roku 1944, kiedy ukonstytuowała się Krajowa Rada Narodowa, a więc kiedy po raz pierwszy w dziejach Polski zarysowała się konkretna możliwość prawdziwej i zasadniczej zmiany w życiu naszego narodu. Wtedy okazało się raptem, że wszystkie dawne podziały są tylko magią słów. W konspiracyjnym piśmie „S", organie grupy zwolenników Rydza Śmigłego, na miejscu, gdzie przedtem drukowano co tydzień cytaty z pism Piłsudskiego, rozpoczęto druk cytatów z pism... Dmowskiego. To znaczy że w sprawach naprawdę ważnych i istotnych, w sprawach ustrojowych, między tymi „wrogami" różnicy żadnej nie było. Doświadczenia wyborów we wszystkich państwach rządzonych przez kapitał są zupełnie jednoznaczne: jakakolwiek partia wychodzi z urny wyborczej, by sprawować władzę, nic ona nie zmieni w ustroju społecznym i gospodarczym narodu. „A jeżeli wyjdą komuniści, co przecież przy stałym wzroście sił partii komunistycznych Włoch i Francji może być realne..." — zapyta ktoś z boku. Rzecz w tym, że póki kapitał ma władzę w ręku, komunistyczna partia przez urnę do władzy nie dojdzie. Był już kraj, gdzie chwila taka zdawała się niedaleka — w 1932 roku w Niemczech na komunistów padło już 6 milionów głosów. Wtedy wielki kapitał amerykańsko-niemiecki uruchomił Hitlera. Nie wcześniej — ostatecznie za tę przysługę Hitlerowi trzeba było zapłacić niemało. Taki wydatek czyni się tylko w obliczu specjalnego zagrożenia,

Wybory w Polsce przed 1939 rokiem, dziś jeszcze wybory we Francji, we Włoszech, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych, w Anglii są wyborami, z których ma wyjść tylko i jedynie decyzja ustalająca komu (personalnie) mają być wypłacane pensje państwowe i czyje portrety mają wisieć w szkołach i kancelariach. To wszystko — i nic więcej. Tak długo jak tylko o to chodzi — tak długo wielki kapitał, istotny władca kraju, pozwala na „swobodną wyborczą walkę polityczną" — jest mu bowiem doskonale obojętne, jakiemu urzędnikowi będzie płacił za ochronę swego świętego prawa do wyzysku. Byleby tylko on dobrze je chronił. W momencie jednak, gdy wybory mogłyby istotnie zagrozić hegemonii kapitału — a historia kilkudziesięciu lat nauczyła, że jedynie komunistyczne partie są do tego zdolne — na widowni pojawia się jakiś „hitler" czy „franco" i likwiduje owe „święte swobody republiki burżuazyjnej". Bowiem tam wszędzie, gdzie idzie o rzecz dla kapitału najważniejszą: o władanie, tam odrzuca on łatwo cały balast wolnościowych i liberalnych frazesów, mimo woli dając dowód prawdzie o walce klas jako głównym motorze dziejów naszego świata. Mądrze i pięknie pisze Bertold Brecht:

„Gdyż walka klasowa istnieje,
Cokolwiek nam mówi wróg,
A kto przed tą walką stchórzy,
Tego powali głód.
Jesteśmy wrogami, doboszu,
Daremny twych werbli huk!
Generał, fabrykant i junkier:
Oto klasowy nasz wróg!
Tego już nikt nie przekręci,
Historii nie zmieni się bieg,
Deszcz nigdy nie pada do góry
I chyba to nie jest złe". *)

Przestańcie mrużyć lewe oko, uśmiechać się niby-chytrze i grać z nami w durnia. W ostatnich wyborach we Francji wszystkie partie od tak zwanej „socjalistycznej" lewicy do najbardziej czarnosecinnej reakcji zawierały pacta conventa, przymierza, sojusze, bloki, byle tylko nie dopuścić do zwycięstwa kandydatów komunistycznych. We Włoszech partia socjalistyczna szła do wyborów w jednolitym froncie z partią komunistyczną, natomiast rozłamowcy socjalistyczni łączyli się z chadekami de Gasperiego. Jak jednoczą się pod komendą kapitału wszyscy przeciwnicy reform społecznych — to dobrze. Jak my, przeciwnicy kapitału, zwieramy swoje szeregi — to źle. Oto zabawa w Alego!

SPRAWY NAJISTOTNIEJSZE

W Polsce w roku 1952 — chodzi o ludzi — o ludzi, to znaczy o to KTO, a więc JAK, będzie w Polsce rządził. Chodzi o to, czy akt polityczny, jaki będzie miał miejsce w Polsce 26 października br., wzmocni pozycje obozu rewolucji w społeczeństwie polskim, czy ją osłabi. Tu nie chodzi o wybieranie między panami Dmowskim, Piłsudskim, Witosem czy też Mac Donaldem, Attleem, Churchillem. Ale o wybór między tym czy fabryki należeć mają do Faltera, Harrimanna lub Lilpoppa czy do całego narodu, czy ziemia należeć ma do obszarników czy do chłopów, czy w kraju naszym ma być trzy miliony bezrobotnych czy rosnące stale zapotrzebowanie rąk do pracy, czy na uniwersytetach i politechnikach ma być 13 proc., czy 73 proc dzieci chłopskich i robotniczych. Chodzi o to, czy przywileje pieniężne i polityczne mają być zarezerwowane dla grupy czy mają być udziałem wszystkich. Czy Szczecin i Wrocław ma leżeć w Polsce graniczącej z przyjaznymi Niemcami z NRD, czy we wrogich Niemczech pana Adenauera?

W tej chwili rozstrzygają się właśnie w naszym narodzie (ten proces trwa już kilka lat i będzie jeszcze trwał) te sprawy najważniejsze. Byłoby szczytem lekkomyślności, gdyby obóz postępu, sprawiedliwości społecznej i pokoju, wiedząc dokładnie, iż słuszność po jego jest stronie, nie mobilizował do walki o nią wszystkich swych sił, gdyby nie nadawał swym szeregom spoistości największej z mo-

(Dokończenie na str. 2-ej)

*) tłum. Witold Wirpsza.

Z materiałów XIX Zjazdu WKP(b)

Malenkow o zadaniach literatury

Niezwykle ważną, nieodłączną częścią kultury radzieckiej jest literatura i sztuka. Osiągnęliśmy wielkie sukcesy w rozwoju radzieckiej literatury, plastyki, teatru, filmu. Świadczy o tym dobitnie fakt, że wielu utalentowanym działaczom na polu kultury przyznaje się rokrocznie Nagrody Stalinowskie. 2339 pracowników literatury i sztuki otrzymało zaszczytne miano laureata Nagrody Stalinowskiej.

O ukazanie różnorodności życia

Byłoby jednak niesłuszne, gdybyśmy spoza wielkich sukcesów nie dostrzegali poważnych niedociągnięć w rozwoju naszej literatury i sztuki. Idzie o to, że, mimo znacznych sukcesów w rozwoju literatury i sztuki, poziom ideowo - artystyczny wielu utworów wciąż jeszcze jest nie dość wysoki. W literaturze i sztuce pojawia się jeszcze wiele miernych, banalnych, a niekiedy wręcz tandetnych utworów, które fałszują obraz rzeczywistości radzieckiej. Wielostronne, tętniące życie społeczeństwa radzieckiego, przedstawiane jest w twórczości niektórych pisarzy i artystów bezbarwnie i nudno. Nie przezwyciężono również niedociągnięć w tak ważnej i popularnej dziedzinie sztuki jak film. Umiemy robić dobre filmy o dużym znaczeniu wychowawczym, lecz filmów takich tworzy się wciąż jeszcze za mało. Kinematografia nasza ma wszelkie możliwości ku temu, aby produkować dużo dobrych i różnorodnych filmów, ale możliwości te nie są należycie wykorzystywane.

Potrzeba śmiałej satyry

Należy liczyć się z tym, że ideologiczny i kulturalny poziom człowieka radzieckiego podniósł się niezmiernie, że partia kształtuje jego smak estetyczny na podstawie najlepszych utworów literatury i dzieł sztuki. Ludzie radzieccy nie cierpią szarzyzny, bezideowości, fałszu i stawiają twórczości naszych pisarzy i artystów wysokie wymagania. Pisarze nasi i artyści powinni w swych utworach piętnować wady, niedociągnięcia, zjawiska chorobliwe pokutujące w społeczeństwie, powinni ukazywać w pozytywnych obrazach artystycznych ludzi nowego typu w całym blasku ich godności ludzkiej i w ten sposób przyczyniać się do kształtowania w ludziach radzieckich charakterów, nawyków, przyzwyczajeń, wolnych od wypaczeń i wad zrodzonych przez kapitalizm. Tymczasem w naszej radzieckiej beletrystyce, w dramaturgii, podobnie jak w kinematografii brak dotychczas takiego gatunku twórczości artystycznej jak satyra. Błędem byłoby sądzić, że nasza rzeczywistość radziecka nie dostarcza materiału do satyry. Potrzebni nam są radzieccy Gogolowie i Szczedrinowie, którzy ogniem satyry wypaliliby z życia wszystko to, co jest negatywne, przegniłe, obumarłe, wszystko to, co hamuje marsz naprzód

Typowość — to nie przeciętność

Nasza literatura i sztuka radziecka powinna śmiało ujawniać życiowe sprzeczności i konflikty, umiejętnie posługiwać się bronią krytyki jako jednym ze skutecznych środków wychowania. Siła i znaczenie sztuki realistycznej polega na tym, że może ona i powinna wykrywać i ukazywać wysokie walory moralne i typowe, pozytywne cechy charakteru prostego człowieka, malować jego wyrazisty obraz artystyczny, godny tego, aby stać się dla ludzi przykładem i wzorem do naśladowania.

Nasi malarze, literaci, pracownicy sztuki w swej twórczej pracy nad obrazem artystycznym pamiętać powinni stale, że typowe jest nie tylko to, co się spotyka najczęściej, lecz również to, co najpełniej i z największą ostrością wyraża istotę danej siły społecznej. W ujęciu marksistowsko - leninowskim to co typowe nie oznacza bynajmniej jakiejś średniej statystycznej. Typowość odpowiada istocie danego zjawiska społeczno - historycznego, nie jest zaś po prostu zjawiskiem najbardziej rozpowszechnionym, najczęściej się powtarzającym, powszednim. Świadome przejaskrawienie, wyostrzenie obrazu nie wyklucza typowości, lecz w pełniejszej mierze ujawnia ją i podkreśla. Typowość stanowi podstawową sferę przejawiania się partyjności w sztuce realistycznej. Problem typowości jest zawsze problemem politycznym.

Literatura a naród

Wysokie i szlachetne zadania stojące przed pracownikami literatury i sztuki można rozwiązać pomyślnie jedynie wówczas, jeśli wydamy zdecydowaną walkę tandeciarstwu w pracy naszych artystów i literatów, jeśli z dzieł literatury i sztuki wypleni się bezlitośnie fałsz i zgniliznę. W wielkiej walce o troskliwą opiekę nad tym co wschodzi nowe i światłe w naszym życiu społecznym, i o karczowanie tego co zmurszałe i obumarłe, ogromne obowiązki ciążą na naszych pracownikach literatury i sztuki. Obowiązkiem naszych pisarzy, artystów, kompozytorów, pracowników kinematografii jest głębiej poznawać życie społeczeństwa radzieckiego, tworzyć wielkie dzieła artystyczne, godne naszego wielkiego narodu.

Towarzysze! Mamy poważne osiągnięcia w dziedzinie poprawy warunków materialnych i wzrostu kultury narodu radzieckiego. Ale nie możemy poprzestać na tych osiągnięciach. Zadanie polega na tym aby na gruncie rozwoju całej gospodarki narodowej zapewnić dalsze konsekwentne podniesienie materialnego i kulturalnego poziomu życia ludzi radzieckich. Partia nasza nadal będzie przejawiała nieustanną troskę o maksymalne zaspokojenie rosnących wciąż potrzeb ludzi radzieckich, gdyż dobro radzieckiego człowieka rozkwit narodu radzieckiego jest dla naszej partii najwyższym prawem.

W numerze

POLA GOIAWICZYŃSKA

* * *

„...Świat, który dopuścił, aby istniały takie czeluście piekieł, nie był wart aby za nim w ostatniej godzinie westchnąć z żalem. Wszyscy ci mądrale, kształtujący losy świata, bywalcy Europy, wysłannicy przodujących warstw, którym prosty człowiek zawierzył, uczeni, artyści, pisarze — nie użyczyli, widać, swym dziełom tego przekonania, jakie daje krew i serce; żaru niezachwianego; instynktu niezawodnego. Cała ta potworność rosła obok nich. Odpadali teraz, jak plewy. Zwyczajny człowiek został tam i starał się sam rozwiązać najwyższe zagadnienia, zanim zginie“.

To słowa z Kraty, powieści okupacyjno - więziennej. To myśli i uczucia po całodziennym przesłuchaniu w boksach Alei Szucha, wobec obrazu nigdy nieprzeczuwanego okrucieństwa i w obliczu jakiejś niewysłowionej klęski ludzkiej. Nie potrafiliśmy temu zapobiec. A przecież pracowaliśmy z wiarą. O coś nam szło w naszych książkach, o coś upominaliśmy się i po swojemu walczyli. Wpływ nasz i nasze głosy były głosami rządzących, a ponosiliśmy pewną odpowiedzialność za to, co się stało.

Ileż to razy, w tym mrocznym okresie oczy ludzkie spoglądały z niemym pytaniem na *swojego* pisarza. Byliśmy kimś. Ileż to razy troska ludzka osłaniała nas z największym poświęceniem: byliśmy kimś. W tych pytających spojrzeniach i w tej trosce chroniącej nas mieści się cała praca i trud naszego życia, ten autorytet pisarza, niedoceniany nigdy w świecie pieniądza.

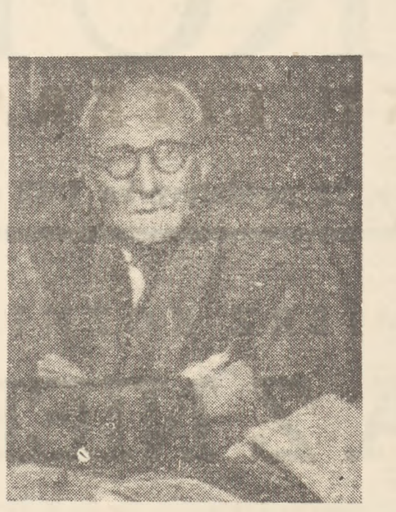
Między słowami z „Kraty“ a dniem dzisiejszym leżą ubiegłe lata, Dla autorki, która je pisała, to szczególna chwila, gdy czyta listę wyborczą. Wielka luka wypełnia się w moich oczach wielką liczbą, ogromnym udziałem ludzi nauki i sztuki. To nie są tylko znane nazwiska: to są ludzie, którzy idą na listę wyborczą już z wkładem swojej pracy, swoich osiągnięć i nade wszystko z mocną wiarą w możliwość zbudowania lepszego świata, w skuteczność walki o pokój, konieczność przemian społecznych i gospodarczych.

Wśród tej wielkiej liczby zasłużonych już w pracy i powszechnie uznanych kolegów dajemy Frontowi Narodowemu kryształowy charakter i prawe serce Jana Wiktora, pisarza krzywdy ludu; ostry talent Marii Jarochowskiej. Prostą, jak strzelił, linię życia Bohdana Czeszki. I Osmańczyka, zawsze wiernego Polsce syna robotniczego, wychowanego na obczyźnie.

Pola Gojawiczyńska

JERZY BROSZKIEWICZ

Jan Wiktor—kandydat ziemi krakowskiej



Rok 1913 był rokiem debiutu Jana Wiktora. Ukazywać się wówczas zaczęły pierwsze jego felietony i artykuły publicystyczne. Tak więc — za rok, czas pracy twórczej Wiktora zamknie się pięknie liczbą czterdziestu lat trudów i czterdziestu lat sukcesów jego pisarskiej pracy.

Czterdzieści lat—to wiele. Okres bliski półwiecza jest dla artysty, dla twórcy, wielką próbą. Próbą wielokroć niosącą klęski — demaskującą często nieudolność wyobraźni, a przede wszystkim sprawdzającą wartość idei kierującej ową wyobraźnią. Szczególnie w literaturze czas z niezwykłą ostrością wypróbowuje dzieło pisarza — i nad dziełem, które po latach zachowuje świeżość, zwykliśmy pochylać się z szacunkiem.

Jan Wiktor jest pisarzem, który w swym twórczym rozwoju potrafił dobić się wartości godnych owego szacunku. Będzie to szacunek dla sumienia — dla właściwej idei wybranej przez dojrzałego pisarza.

Pomiędzy rokiem 1919 a 1932 — ukazuje się dziesięć książek Wiktora. W tym pierwszym okresie twórczości prozaik dał się jeszcze zwieść nowinkom mistycyzmu i pseudospołecznikowskim smakom. Wiktor sygnalizuje wrażliwość swego sumienia społecznego — ale na liryczne i retoryczne pytania nie umie znaleźć odpowiedzi. Brak mu realnego widzenia świata, a więc brak mu realnej na jego problemy odpowiedzi — toteż owe dziesięć pozycji cechuje przede wszystkim liryczna retoryka. „Przez łzy“, „Legendy o grajku bożym“, „Gołębie przy kościele“, „Eros na podwórzu“, „Burek“, „Srogi pies i sentymentalny zając“ to liryczna egzotyka i liryczna ucieczka ze świata złych ludzi w świat dobrych zwierząt. Inne pisarskie doświadczenia — „Oporni“, „Tęcza nad sercem“, „Zwariowane miasto“, „Czarna Rózia“ — to jeszcze błędne drogi godzenia ludzkiej nędzy z „nieludzkim“ miłosierdziem i ewangeliczną cnotą. Też swoista egzotyka.

Jan Wiktor ma jednak wrażliwe sumienie realisty i w bliskim zetknięciu, z jakże „egzotycznym“ na tamte czasy a jakże rzeczywistym tragizmem życia polskiej emigracji zarobkowej, zrywa z retoryką. Pisze świetną powieść „Wierzby nad Sekwaną“. Jest to rok 1932. W trzy lata później ukazuje się jego „Orka na ugorze“, równie piękne świadectwo twórczej dojrzałości — świadectwo właściwej oceny ludzkich spraw, rozpoznania ich sensu. Pisarz dojrzewając w latach coraz jawniej działającej, antyludzkiej praktyki kapitału — a wybierając za przedmiot swego widzenia polską wieś — dał dowód, że jest pisarzem sprawiedliwego sumienia i czułej wyobraźni: wystąpił w imieniu uciskanego ludu przeciw nosicielom wyzysku.

Po krwawych dniach w Kasince Małej, Wiktor wygłasza słynne przemówienie do uczestników Kongresu Stronnictwa Ludowego — przemówienie o wymownym tytule „Oddali życie za Polskę sprawiedliwą“. Czytaliśmy je wraz ze szkicem „Zdeptany zwyciężył“ na nielegalnych ulotkach — czytaliśmy słowa pisarza, porwani pasją jego talentu, walczącego o „najpiękniejszą w dziejach ludzkości ideę: ideę sprawiedliwości społecznej“. W owych też latach powstaje opowiadanie „Przede dniem“ — czytaliśmy je na tym miejscu już w roku 1952, w ósmym roku zwycięstwa, o które toczyła się tamta walka.

Wiktor, sięgając do historii dawnej, umiał ocenić jej sprawy przeszłe, jak nauczył się oceniać jej teraźniejszość. Obecnie—po „Skrzydlatym mnichu“ i „Zbuntowanym“ — poświęcił swą pracę pięknej pamięci rewolucyjnych dni Jana Husa i złej pamięci sędziów z Trydentu, którzy skazali Husa na śmierć. Tak więc w czterdziestym roku pisarskiej działalności Jana Wiktora ukaże się dwudziesta jego książka.

*

Jan Wiktor kandyduje na posła z ziemi krakowskiej do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Kandyduje z ziemi, w którą wsiąkła krew tych chłopów z Kasinki Małej, którzy w 1937 roku oddali życie za Polskę sprawiedliwą. Kandyduje w czasach, kiedy znad Sekwany powrócili do nowej ojczyzny ci, których niegdyś karmiła ona miast mlekiem, żółcią. Kandyduje w latach wielkiej orki na wszystkich ugorach otrzymanych w spadku po złej przeszłości. Kryje się w tym fakcie — a raczej: ujawnia się tym faktem raz jeszcze szlachetna treść naszych czasów. Oto pisarz, który walczył o dobro swego ludu, dziś kandyduje na jego przedstawiciela. Niegdyś był jednym z bojowników przeciw uciskającemu lud bezprawiu — dziś kandyduje na zaszczytną godność jednego z prawodawców zwycięskiego narodu.

Ów fakt ujawnia nam też raz jeszcze piękny sens pisarskiego trudu Jana Wiktora i jest dowodem tego, że ci, o których walczył, właściwie potrafili ocenić pracę prawdziwego artysty i walkę prawdziwego patrioty.

Jerzy Broszkiewicz

DESZCZ PADA Z NIEBA NA ZIEMIĘ

(Dokończenie ze str. 1-ej)

żliwych, by nie zmuszał swych przeciwników do walki na pozycjach dla nich najgorszych, do cofania się stale i coraz bardziej. Front Narodowy i jego *wspólna* lista to właśnie przejaw dojrzałej odpowiedzialności historycznej. Właśnie dlatego nasi wrogowie z taką zaciętością atakują koncepcję Frontu Narodowego i jego wspólnej listy wyborczej, że wiedzą oni równie dobrze, jak wiemy to my, (nie są oni tak głupi i felietony Grotowskiego drukowane w „Przekroju“, robiące z nich kretynów, są szkodliwie demobilizujące), że rozmaite listy wysuwane przez ugrupowania wchodzące w skład Frontu Narodowego dialektycznym prawem walki wyborczej stałyby się okazją do osłabienia pozycji obozu rewolucji w społeczeństwie polskim.

W Polsce chodzi dziś o USTRÓJ, o koncepcję społeczną i polityczną, jaka będzie organizować nasz naród. Dlatego walka z naszej strony prowadzona jest ostro, bezwzględnie, mądrze. Dlatego walka z ich strony też prowadzona jest ostro i bezwzględnie, a gdy trzeba podstępnie i skrycie. Dowodów chyba na nią wyliczać tutaj nie trzeba...

DWA RAZY DWA JEST CZTERY

W imię zwycięstwa postępu w Polsce, w poczuciu odpowiedzialności za szczęście naszych dzieci — wszystkie ośrodki polskiej myśli politycznej zadecydowały wystawić wspólną listę wyborczą Ta wspólna lista jest przedmiotem zaciekłych ataków wroga. Widocznie jest mu nie na rękę. Widocznie jest mu jakąś przeszkodą.

Ale wrogowie atakują nie tylko wspólną, jednolitą listę. Atakują sam sens wyborów. Atakują tak, jakby woleli, by tych wyborów w Polsce wcale nie było. Ze swego punktu widzenia mają rację — wybory są przeciw nim.

Przed jakimś czasem Ryszard Wraga-Niezbrzycki — w jednej osobie wysoki oficer przedwojennej „dwójki“ ergo publicysta, „poświęcający się“ wyłącznie zagadnieniom radzieckim, zdeklarowany wróg Polski Ludowej, napisał w jednym z londyńskich pism emigracyjnych, że w Polsce dokonywa się tak intensywna praca ideowo-wychowawcza, jak w żadnym z państw kapitalistycznych, i ubolewa, że emigracja londyńska nie jest w stanie tej akcji ideowej przeciwstawić żadnej równie atrakcyjnej, równie żywotnej, równie szerokiej — równie skutecznej.

Wraga ma zupełną rację.

Zapytajcie w księgarniach. Jak błyskawicznie rozkupywano w ciągu piątku i soboty — 10 i 11 października — pierwszą serię książkowego wydania najnowszej pracy ekonomicznej Stalina. Jak dawniej wykupywano wszelkie publikacje związane z konstytucją i tekst samej konstytucji. Jak rozchodził się „Kapitał“. Jak stale poszukiwany jest „Krótki kurs“. Nigdy jeszcze — i nigdy tak szerokie masy naszego narodu nie kształciły się tak politycznie i ideowo, jak się to dzieje obecnie. Nigdy jeszcze nie walczono tak zaciekle z analfabetyzmem politycznym.

Kapitalistycznym ministrom poziom politycznego wyrobienia obywateli był co najmniej obojętny — chętniej widzą oni ludzi politycznie obojętnych, gdyż tacy łatwiej dają się kierować. Państwo socjalistyczne potrzebuje najszerszej wiedzy politycznej u możliwie wszystkich obywateli. W państwie burżuazyjnym rządzą zawodowi politycy — w socjalistycznym do udziału w decyzjach regulujących sprawy państwowe, społeczne, zawodowe wciąga się wszystkich obywateli. Poprzez Rady Zakładowe, Rady Narodowe rozmaitych stopni, związki społeczne, realizuje się udział każdego w pracach państwowych. Dziś jeszcze uczymy się dopiero tego udziału, nie zawsze potrafimy korzystać z praw przysługujących nam w państwie budującym socjalizm — ale zarówno świadomość tych praw, jak sprawność korzystania z nich, rośnie z każdym rokiem.

Wybory są jedną z tych zasadniczych akcji politycznych, które obywatela naszego państwa uczą udziału w decyzjach społecznych i narodowych.

Literatura światowa pozostawiła znakomite świadectwa prawdy o wyborach w państwach burżuazyjnych. Dickens w swym „Klubie Pickwika“, Twain i Upton Sinclair, a nawet Chevallier w „Clochemerle“. Wszystkie te książki zanotowały celnie i z goryczą istotę wyborów: brak jakiegokolwiek związku istotnego między terenem a wybranym posłem. Poseł jest zawodowcem politykiem, który ze sprawami swych wyborców nie ma nic, ale to nic wspólnego. Tym wyborom przeciwstawiamy nasze wybory, w których każdy głosuje na listę zawierającą ludzi, do których ma zaufanie, gdyż zna ich, najczęściej zna ich z własnej pracy zawodowej. Wie, że oni są z nim związani tak licznymi więzami, jak to nie miało miejsca nigdy przedtem. Skoro „Nowa Kultura“ jest organem Związku Literatów Polskich sięgnijmy do przykładu literackiego. Kilkunastu pisarzy kandyduje do Sejmu. Tylu pisarzy nie kandydowało jeszcze nigdy do żadnego sejmu polskiego. Każdy pisarz głosując na listę Frontu Narodowego głosuje na swych najbliższych kolegów, na ludzi, o których wie wszystko. Do których żywi specjalne zaufanie. I tak dzieje się we wszystkich zawodach, grupach społecznych, instytucjach, zakładach. Taki właśnie skład personalny zespołu kandydatów wiąże wyborcę z przyszłym ciałem ustawodawczym bardziej niż jakakolwiek inna forma związać by mogła. Taki skład zespołu kandydatów każe się każdemu wyborcy zastanawiać, porównywać, zmusza do politycznego myślenia. Gdyż każdy nasz kandydat ma w rzeczywistości politycznej swego kontrkandydata... Tym kontrkandydatem jest dla Bugdoła — Falter, dla Tracikiewicza — Wierzbicki, dla Mazura — Radziwiłł, dla każdego kandydata chłopa, robotnika czy inteligenta pracującego kontrkandydatami są ci wszyscy posłowie, którzy wybierani do sejmów przedwrześniowych, reprezentowali wielkie obszarnictwo, kapitał; których walorem była nie własna praca, własne osiągnięcie, ale umiejętność najsprytniejszego profitowania z pracy cudzej.

I każdy człowiek w Polsce głosując 26 października wybiera między tymi właśnie kandydatami a tamtymi kontrkandydatami.

Wybiera w rzeczywistości najbardziej realnej. Wybiera nie tylko 26 października, ale co dzień: każdą swą myślą, każdym swym uczynkiem, każdym dniem swej pracy.

Wybory do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej poprzedzone są wielką akcją agitacyjną, polityczną. Akcja docierająca indywidualnie do każdego człowieka, każdego obywatela. Akcja, w której do trójek agitacyjnych zaproszono wszystkich — nawet i tych, którzy dotychczas stali na ideowym uboczu. I oto okazuje się, że w zetknięciu z innymi ludźmi, w zetknięciu z bezpośrednią robotą polityczną, ujrzawszy troskę o człowieka, jaka przepaja agitację wyborczą — nawet ci obojętni zaczynają pojmować różnicę między nami a nimi, między państwem kapitalistycznym a socjalistycznym. Różnicę — o człowieka.

Konfrontacja wyborów, których celem jest uzyskanie głosu od analfabety politycznego — i wyborów, których celem jest, by każdy wybierający świadomie dokonał wyboru swej własnej postawy ideowej — oto co do prawdziwej wściekłości doprowadza naszych wrogów. Ryszard Wraga rozpacza nad tym w Londynie. Jego agenci zwalczają nas czynnie w Polsce.

Wyboru dokonał młody poeta ludowy gdy mimo napaści chuliganów wygłosił swe agitacyjne wiersze. I wyboru dokonali ci chuligani.

Każdy dziś w Polsce wybiera między dwiema koncepcjami urządzenia świata: między kapitalizmem wyrodniejącym w faszyzm a socjalizmem przekształcającym się w komunizm.

I tego wyboru boją się nasi wrogowie. Nazajutrz po ogłoszeniu wyniku wyborów radia BBC, Wolna Europa, Głos Ameryki i tutti-quanti ogłoszą, że wyniki wyborów są sfałszowane... Odnośne komunikaty już leżą zredagowane w biurkach spikierów. Lawina wściekłości jaką w tej chwili ci spikierzy nas zalewają wypływa z pełnej ich własnej świadomości, że wybory rzetelnie ukażą prawdziwy rezultat pracy ideowej, wychowawczej i politycznej, jaka się dokonała w każdym Polaku. Że wybory te pokażą, jakiego każdy z nas wyboru dokonał w sobie samym, na co się zdecydował przez osiem lat porównywając praktykę socjalizmu.

I to ich boli. Gdyż wybory równocześnie zdemaskują, jak słabe są ich wysiłki. Zadokumentują, jak obywatele naszego kraju dobrze rozumieją, gdzie są ich wrogowie i gdzie są przyjaciele. Krzyk tych wrogów — choćby najbardziej gwałtowny, szept tych wrogów — choćby najbardziej jadowity, nic w tym nie zmieni.

„Niech krzykacz, co chce, klajstruje,
Tych spraw nie zlepi nikt.
Ktoś musi się cofnąć w tej walce,
Cofnę się ja — albo ty.
Dwa razy dwa jest cztery,
Choćbym się uczył sto lat:
Ręki nie podam wrogowi
Niech walka klasowa trwa.
By ciebie i mnie zjednoczyć,
Nie ma ni gestów, ni słów.
Deszcz pada z nieba na ziemię
I tyś mój klasowy wróg“.

Tak jak w swej pieśni mówi Bertold Brecht — deszcz zawsze pada z nieba na ziemię, a nie odwrotnie, dwa i dwa jest zawsze cztery, a nie inaczej — tak walka o socjalizm w Polsce, walka której jednym z aktów są wybory, doprowadza do tego, iż coraz więcej ludzi w Polsce świadomie i z największym poczuciem odpowiedzialności wybiera socjalizm.

Kazimierz Koźniewski

ZYGFRYD SAWKO

ZACHODZI SŁOŃCE

Widnokrąg z szarych cieni brzóz i topól,
Nad wsią obłoki — białe kry, gdy ruszą,
Z kominów dym nie sięga nawet stropu
Szerokich klonów, lip...

W jabłoniach, gruszach
Spłowiałe strzechy zagród. Dzień się wlecze
I wieś się ciągnie pośród drzew zielonych,
Wzdłuż brzegu nad kanałem Suchej rzeczki.

Pomiędzy wzgórza, by zapalić zorze —
Zachodzi słońce.

W dłoniach pozostały
Toporów ostrza. Drwale ich nie złożą.
Wciąż rąbią — słychać:
Kornik toczy korę,
Flisacy tratwę ciągną wzdłuż kanału —
Przed nocą chcą wypłynąć na jezioro.

Na wodę cień
Rzuciła wielka gałąź.
Na mchy padają wióry pod ciosami...
U pni
Opiłki sieją ręczne piły.

Strzeliste sosny
Ścięte —
Przed drwalami
Korony ciężkie z szumem pochyliły.

Tuż obok traktu, na rowerach, ścieżką
Wijącą się wśród krzewow, młodych sosen —
Wracają ludzie z Augustowa.
Ciężka
Z tartaków droga do odległych wiosek.

I drwale sok żywiczny z ostrzy siekier
Ścierają...
Rąk w jeziorze nie obmywszy
Wracają z lasu pojedynczo —
Świerki
I ptak przelotny im tu towarzyszy.

Zachodzi słońce. Kto
miedzami drogę
Do domu skraca, zagonami, ugor
Przecina w poprzek (oto całe morgi
Nieoborane — grunt jałowy), kogo
Przez groble niesie... Bliżej drzew mieszkanie,
Zacisze, cień i groch bujniejszy... Dalej,
Gdzie nic przed wiatrem pola nie osłania —
Nasiona mróz przymrozil, słońce spala.

Porzecki, kiedy pień ostatni w toni
Jeziora topił — śpieszył też. Na progu
Swojego domu stanął, spojrzał żonie
W błękitne oczy — złe,
Lecz jakże drogie.

Pod płytą w wielkim palenisku świeżo
Wsypane szyszki żarzą się, Porzecka
Po kuchni się uwija, karci męża,
Że późno wraca... Chłop całuje dziecko.

Nieogolony od tygodnia zarost
Nie razi chłopca, gdy go ojciec wita.
Kipiące garnki się pokryły parą —
Zestawia je i skarży się kobieta:

Na szczątkach puszczy augustowskiej piaski.
Wciąż sama —
W polu,
Przy obejściu... Całe
Obszary gminy Szczerba i Olszańskiej,
To ziemie lasów, jezior i kanałów.
Chłop
Na wyrębie, spuszcza drwa na wodę,
Z wiązaniem płyt pośpiesza...

Robak toczy
I niszczy drzewo — każdej chwili szkoda,
Gdy w lasach się o spławy walka toczy.

Kobiety we wsi pokosiły łąki
I same
Suchą trawę zgrabią, zwiozą.

I same uprawiają piaski. Z mąki
Swej chleba mało — chłopy płyty wiążą.
Rozumie to Porzecka, na jej ustach
Zakwita uśmiech, obok męża siada,
Na głowie białą poprawiając chustkę
O całodziennych troskach opowiada.

Zachodzi słońce. Na stalowej linie
Spławiają ludzie końmi drzewo ścięte.
Za tratwą łódka motorowa płynie,
A za nią
Barki z cegłą i z cementem.

Nie popłacało kiedyś końmi — ludzką
W rachubę brano siłę pociągową
Budując kanał — nikt już nie narzuci,
By liny wlókł i stopy ranił człowiek.

— Cóż, końmi ciągniesz — woła motorniczy
Do chłopa, co odpychał wciąż od brzegu
Sosnowe kloce.

— A no, jak sam widzisz.
Jak bydlę pracowałem — w nieodległych
Co prawda czasach.

— Dobrze by traktorem...

— Ba, wzdłuż kanałów, jezior, na bezdrożu
Swą tratwę bym połamał do tej pory.
I końmi z tratwą przebrnąć puszcz nie można.

Wiązania — jakby grajek struny skrzypiec
Naciągał — drgają, słychać pluski w mroku..
Od Czarnej Hańczy długi transport skrzypiąc
Przepływa, koń
przystaje... Cisza wokół.

ROMAN BRATNY

„DOPUSTY SPORTOWE"

„REALIZM DLA MŁODZIEŻY"

Istnieje literatura dla młodzieży, ale nie ma „realizmu dla młodzieży". Prawda psychologiczna obowiązuje tu, jak w każdej literaturze Dramatyzm opisywanych wydarzeń musi mieć w tej literaturze co najmniej ten sam ciężar gatunkowy. Rzetelność wiedzy o życiu musi być niemniejsza. Nie ma podwójnej moralności — młodym nie dajemy innych prawd i tylko ignorant może liczyć na to, że różnica sposobów ich podania to różnica jakości. To że wśród autorów książek o sporcie brak najwybitniejszych twórców naszej literatury młodzieżowej ma swoją poważną wymowę. Trudno jest wychowywać młodzież. nie znając jej zamiłowań. Trzeba zdawać sobie sprawę, ile tysięcy młodych wybiega co niedziela na stadiony i boiska sportowe, ile milionów ich podziwia. Podwójnej buchalterii wychowawczej, w której na jednej stronie wpisuje się pozycje „dla młodzieży", a na drugiej pozycje „sportowe" nie powinna uznawać literatura.

Toteż nic dziwnego. że pozycje sportowe wydają się być „wycelowane" na młodzież. Niestety, wycelowane są źle. Przypomnijmy, jakie to elementy miała tandeciarska, burżuazyjna, kramarska literatura, ta, w której bawiąc jeszcze na wolności gustowali późniejsi młodociani mieszkańcy domów poprawczych i cel więziennych. Była sensacyjna, melodramatyczna, sentymentalna, egzotyczna, miała zresztą i swoistą tendencję moralizatorską.

Daleko, zdawało mi się, odbiegliśmy od tych czasów! Lektura „powieści sportowych" stanowiła przełom w tym zbyt optymistycznym sądzie. Jest „nowa" sensacyjność — zamiast gwałtów popełnianych na szlachetnych dziewicach, i mordów, występują ucieczki za granicę podpalanie, kradzieże. Jest „nowy" melodramatyzm — zamiast wstrząsających spotkań kochanków na bezludnej wyspie — bumelant i przodujący robotnik jednej fabryki spotykają się nagle na ringu w barwach klubów z różnych dzielnic Polski. Jest „nowy" egzotyzm — wyznacza go już nie geografia, czy „wyższe sfery", ale zamknięty dla niewtajemniczonych krąg spraw i słów („Przygotować kliwer do odmarlowania, w tej chwili wybiło 3 i pół szklanki").

No i wreszcie straszliwa, naiwna tendencja moralizatorska, wpływająca na fabułę w sposób. wobec którego bledną cudy z żywotów świętych. Gdy u Sumińskiego i Domaniewskiego młody żeglarz na 3 stronie chodzi w amerykańskiej chustce na szyi, to na 13-tej wchodzić musi w knowania z cudzoziemskimi marynarzami. Gdy u Rejniaka młody szybownik wpada w kułacką pułapkę i sprzedaje wybrakowany spadochron, musi natychmiast zrehabilitować się bohaterskim wyczynem. Autor podpala dla niego bez żadnej obiektywnej przyczyny drewniany barak. Wyniesiono już stąd wszystkie meble, nie można jedynie zabrać pancernej kasy, do której brakuje kluczy, a dźwignąć jej niesposób. W pewnej chwili autor się reflektuje, że barak spłonie, a pancerna szafa zostanie — gdzież pole dla poświęcenia bohatera?! — i informuje, że choć niby pancerna — to w istocie zwykła to szafa, jedynie blachą obita. Wszystko w porządku — bohater może uratować z płomieni oryginał planów konstrukcji nowego szybowca, którego kopii z nieznanych powodów nie ma na całym świecie.

No cóż, obracamy się w sferze bajkowej. Dziwy zastąpiła tu sfera „psychologii", gdzie ze strony na stronę wyrastają z ludzi bohaterowie.

Ale bajka to piękna rzecz, dopóki czytelnik nie ma poziomu, pozwalającego mu na jej gatunkowe zaszeregowanie. Wymogi tego śmiesznego, uproszczonego, łatwego optymizmu dyktują granice umowności tej literatury, przesuwając je na niebezpieczną od uczciwego realizmu odległość. Ten „optymizm" wpływa na zanik dramatyzmu akcji, bo w ostatecznym rachunku wszystko musi w takich książkach znaleźć najszczęśliwsze rozwiązanie, bo zbrodnia jest właściwie w ostatecznym wyniku społecznie nieszkodliwa, skoro nie zostawia żadnych śladów. Tymczasem właśnie powaga i dramatyzm, wynikające ze społecznych „kosztów" każdego błędu człowieka-bohatera książki, mogłyby w poważnym stopniu zastąpić tanią sensacyjność, obowiązującą zdaniem autorów w „realizmie dla młodzieży". W tej właśnie literaturze autorzy manifestują swą twórczością pogląd, że choć prawa psychologii na ogół i tu obowiązują, że choć i tu psychologiczne „dwa razy dwa" równa się cztery, to jednak w literaturze sportowej brzmieć to musi jakoś bardziej dziarsko. A brzmi, wybaczcie, niemądrze.

YACHTINGOWA POWIEŚĆ

Uwagi powyższe nasuwa mi właściwie lektura trzech spośród pięciu przeczytanych książek. Omówię je pokrótce.

„Staksle staw.
Dziobową cumę luzować!
Rufową cumę luzować!
Cumy rufowa i dziobowa luuuz!
Sztaksli szoty wybierać. Grota i bezana szoty wybierać.
Szpring rufowy oddać!
Zarefowany grot. Wolne wachty poszły do mesy spać...
Nagle rozległ się przeraźliwy wrzask z dzioba:
— Boja farwaterowa na kur!"

Oto próbka języka zaczerpniętego z jednej strony utworu Sumińskiego i Domaniewskiego „Druga Wachta".1)

Może jeden z dwu autorów, których wysiłek zrodził tę 88-stronicową książeczkę, miał być tłumaczem? Wiemy, że terminologia mor ka zawiera pojęcia, którymi posługują się autorzy, ale ich sprawą było używać języka żeglarskiego z umiarem, skoro w tak niewielkim stopniu przypomina on język polski. Zresztą język tej książeczki nie jest jej najgorszą stroną. O wiele bardziej swoista jest akcja.

Oto poznajemy bohaterów! Odbywa się to w trakcie szycia żagla; co ruch igłą, to nowy, typowy życiorys „opowiedziany w myślach" przez kolejnego delikwenta. Ano. biedniak bez morgów na morzu. Ano, inteligencki syn. Ano, robotnik. Ale żagiel już gotów i chłopcy myją pokład, po czym słuchają wykładu oficera oświatowego. Słuchają go na kilku stronach. Wkrótce udadzą się wesoło na ognisko, gdzie oficer wychowawczy wesprze się o pień szumiącego jaworu i będzie mówił o roli marynarza w ludowej ojczyźnie. Ale nie martw się czytelniku, że już kończysz swoje kontakty z tym dzielnym człowiekiem. mówiącym rzeczy słuszne, choć tak dobrze znane Oto widzimy jak na uboczu, korzystając ze światła ogniska, odlicza dolary nasz zły wychowanek w amerykańskiej chustce. Zaraz nastąpi kontrakcja. Złego chłopca na mocy decyzji kolektywu zatrzymuje WOP, a dzielny oficer oświatowy prowadzi marynarzy na wycieczkę po Szczecinie, gdzie objaśnia im na kilku stronach co to jest stocznia.

Złego chłopca w amerykańskiej chustce przytrzymuje WOP, ale nie jest zadaniem WOP-u wychowywanie młodzieży — a tego zadania literatura sportowa nie spełni, dokąd pokutować w niej będzie naiwne, podane w surowym komentarzu moralizatorstwo, idące w zgodnej parze z nieporadnością fabuły, błędami języka i wszelkiego rodzaju literackim prymitywem.

PRZYMUSOWE LĄDOWANIE

„Więc przyjmijmy, że to jest Śnieżka — mówił kreśląc zamaszyście schematyczny przekrój Karkonoszy. Wiatr wieje stąd (potężna strzałka) i w związku z tym pierwsze zafalowanie występuje gdzieś w tym miejscu (krzyżyk oznaczający miejsce pierwszej fali) — Naturalnie, w zależności od siły wiatru fala będzie dłuższa (łagodnie sfalowana linia w poprzek tablicy), albo krótsza (ostro biegnąca krzywa) — Z jej długością wiąże się amplituda wahań, to znaczy fala dłuższa będzie miała amplitudę mniejszą i odwrotnie.

— Nie zgadzam się z tobą — zaoponował Janusz Majer i przysunął się do tablicy."2)

Ja też się nie zgadzam! Nie zgadzam się na taką formułę egzotyzmu w naszych powieściach o wodzie, ladzie i powietrzu, która staje się formułką nudy Tak. Nasi autorzy potrafili połączyć te z pozoru najbardziej odległe pojęcia. Cóż z tego, że Rejniak jest rzetelniejszy od Sumińskiego i Domaniewskiego, u których krąg egzotycznej „fachowości sportowej" zastępuje żargon. Cóż z tego, że daje on rzeczową wiedzę o sporcie — skoro nie daje jej w formie awansującej jego utwór do rangi powieści.

Bo cóż to za powieść, gdzie przy czytaniu, co chwila musiałem dawać sobie słowo honoru, że się nie domyślam, co będzie dalej, że to wręcz niemożliwe, by autor prowadził „sensacyjny" wątek tak wprost, jak na to wskazuje potężny drogowskaz schematu już przy zawiązywaniu konfliktu. Dziewczyna szybowniczka zachwyca się wiatrówką za 120 zł., chłopiec — szybownik — zachwyca się dziewczyną, nie ma pieniędzy, więc lekkomyślnie „pożycza sobie" z kasy koleżeńskiej. Rodzice nie nadsyłają obiecanej gotowizny, więc synek ląduje przymusowo w pobliżu zagrody kułaka, który na widok spadochronu zapała żądzą posiadania go. Reszta wiadoma. Ale autor robi minę, że niczego się nie domyśla. Opisuje nam kradzież wybrakowanego spadochronu, w której biorą udział tajemnicze sylwetki bez twarzy. Urządza śledztwo i każe się, oczywiście, przyznać nieroztropnemu chłopcu w tej samej niemal chwili, gdy zetempowcy ze wsi niosą już spadochron, odebrany kułakowi podczas rewizji dokonanej w poszukiwaniu ukrytych zapasów zboża.

Czyn chłopca zostaje potępiony („wstrętny", „ohydny", „potworny", „nikczemny", „podły", „haniebny"), chłopiec zostaje wykluczony z kolektywu, ale już od świtu następnego dnia „nie szuka łatwizny" (to znaczy — łatwej pracy) i myje pilnie podwozia samolotów, bardzo przy tym się brudząc i męcząc. Mało tego, zaraz potem wybucha pożar, o którym już pisałem.



Przyjrzyjmy się dialogom między zakochanymi:

— „wiesz, Zocha, szczerze się cieszę, że ty właśnie pokonałaś mnie we współzawodnictwie.

— Cieszysz się, bo jesteś pewien, że wkrótce znów mnie wyprzedzisz".

Teraz już wiem, kto pisał wyśmiewające schematyzm dialogi w programie „Syreny".

Jestem złym recenzentem. Rozgniewany nie przebieram w środkach. Walę tu w najsłabsze momenty książki. Ale cóż z tego, że autor potrafi napisać dobrze i dramatycznie jeden rozdział — ten, w którym mówi o zdobywaniu w ciężkich warunkach atmosferycznych rekordu wysokościowego. Jesteśmy tu na dobrej drodze. Przypomnijmy sobie Meissnera i jego pasjonujące nowele lotnicze. Koncentracja akcji n momentach walki z przyrodą, ze słabością własnego charakteru w obliczu niebezpieczeństwa — to dobra droga, szkoda, że autor przejechał ją w poprzek.

Nieroztropnego chłopca wychowuje w tej powieści kolektyw, ale milionów jemu podobnych nie wychowa literatura sportowa, póki pokutować w niej będzie naiwna, choć przebrana w pozory sensacyjności, fabuła, pretensjonalna, pseudo-popularyzatorska nuda i wszelkiego rodzaju rozpanoszone schematy.

„KUŁAKI SPORTOWE, CZYLI POWIEŚĆ PIĘŚCIARSKA"

Czytałem w „Ekspresie" skargę czytelnika, który trafił w jakiejś restauracji na kartę, w której obok nazwy dania figurowały tajemnicze kolumienki cyfr w rodzaju: 320 — 810 — 170. Okazało się, że był to spis kalorycznych wartości składających się na porcję dań. Oczywiście skromna „kalarepka z kartofelkami" była również zaopatrzona w wysokie cyfry. Po smaku jej poznacie ją jednak. To samo dzieje się z naszymi powieściami sportowymi. Autorzy z góry reklamują ich „kaloryczność". W „Brygadzie ze stali" 3) sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej nie szczędzi nam umoralniających pouczeń:

„Sekretarz miał na myśli, że nie wszyscy pracują jak należy, a tym samym szkodzą sprawie pokoju.

— Ty, Tomku, nie chcesz wojny, prawda? W takim razie trzeba się wziąć do roboty".

Tę samą radę chciałoby się dać obu autorom tej powieści. Jej bohater, Tomasz Łuczak, popadł w karygodne lenistwo. Cóż z tego, że autorzy w tenże „kaloryczny" sposób przestrzegają przed fałszywą rekordomanią, przed zaniedbywaniem się młodych, liczących na sportową karierę, w pracy zawodowej, polecają wytrwały trening jako podstawę wszelkich osiągnięć. „Kaloryczność" tych rad nie podlega kwestii, ale smak tej „kalarepki"! Autorzy zamiast napisać powieść dają młodzieży dydaktyczną powiastkę.

U Gutkowskiego i Kosińskiego spotykamy nowy schemat — „kułaka sportowego". Jest to „prezes", działacz pełen złych przedwojennych narowów, traktujący klub jako odskocznię do ciemnych machinacji, demoralizujący zawodników. Oczywiście problem taki istnieje, a raczej istniał. Sprawa zasługiwała na postawienie, ale w ujęciu autorów nie brakuje niczego, by poprzez krańcowy schematyzm odebrać jej wszelką powagę. U nich „prezes" zasiada nawet w fotelu „delektując się smakiem starego trunku i aromatem dobrych cygar".

„Aby być w porządku" autorzy wprowadzają sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. Wychowywanie ludzi to oczywiście jedno z zadań przedstawicieli partii i ZMP w zakładach pracy, ale nie wychowują oni ludzi tak, jak to każą im czynić autorzy złych powieści. W wypadku „Brygady ze stali" konsekwencja, z jaką autorzy czynią ze swego utworu tzw. — w złym tego słowa sensie — „powieść produkcyjną", jest zdumiewająca. W całej książce mamy dwa krótkie i nieudolne opisy spotkań pięściarskich, cała reszta poświęcona jest „produkcji" tak jak ją autorzy rozumieją — tj. moralizującemu gadulstwu i opisowi zebrań.

Dodać do tego należy, że styl książki jest konglomeratem, na który obok pretensjonalności rodem ze złych wypracowań szkolnych (np. „Rzadko rozmieszczone lampy kołysały się na wietrze nielitościwie ogołacającym rozłożyste lipy z ostatnich liści") składają się naloty złego gatunku dziennikarszczyzny i zwykła nieudolność.

Leniwego Tomka Łuczaka porywa w powieści przykład przodującego w hali maszyn i na ringu kolei Sarneckiego, ale dziesiątków tysięcy młodych, do których adresowana jest ta książka, nie porwie ani drewniany jej bohater, ani jego kleceni z takiej samej „materii pisarskiej" koledzy, ani przemawiający na kolejno opisywanych zebraniach przedstawiciele Partii i ZMP.

KROK NAPRZÓD

Na tle omówionych pozycji powieść Adama Bahdaja „Ich pierwszy start" 4) robi pocieszające wrażenie. Wprawdzie i ona czasem jest pocieszna, wprawdzie i tu mamy „kułaka sportowego" — prezesa Obębowicza, wprawdzie i tu rezonerstwo przenika tak głęboko, że stary chłop, ojciec bohatera powieści, mistrza narciarskiego Łaszczarza, przemawia jak przystało na „tatula — zetempowca", wprawdzie i tu przeszkadza w lekturze z jednej strony stylizacja języka na gwarę góralską, z drugiej częste naloty niewybrednej młodopolszczyzny („bezduszna skorupa obojętności"), ale...

Choć mamy tu do czynienia ze słabościami, to jednak są to słabości utworu należącego bezspornie do literatury. O wartości książki świadczą ładne opisy zawodów, dramatyzm niektórych scen skomponowanych z sensem psychologicznym i obyczajowym. Nawet deklaratywność potrafił tu i ówdzie autor częściowo usprawiedliwić wprowadzając postać dowcipnego rezonera Bryi. Interesująca jest trudna droga sportowa młodego Jędrka Jawienia i koleje losu starego mistrza Łaszczarza. W sumie mamy tu do czynienia z obciążoną różnymi słabościami, ale bezsprzecznie pożyteczną literaturą. A więc w stosunku do omówionych wcześniej pozycji — różnica na korzyść.

Tylko książka, w której pokazane są prawdziwe sprawy człowieka, ma szanse służyć jego wychowywaniu. Mimo pewnych uproszczeń i słabości pisarskiego rzemiosła, powieść Bahdaja będzie w pewnym stopniu spełniać taką rolę.

L.Z.S. ZAŁOŻONY NA OLIMPIE

Bahdaj opisuje walkę o założenie Ludowego Zespołu Sportowego, nowego środka wychowania człowieka wsi. Powieść jego, mająca zdecydowaną funkcję „agitacyjną", popularyzatorską nawet niejako, jeśli zakres tego pojęcia można rozszerzyć i na tematy pozanaukowe obciążona jest jeszcze licznymi słabościami rzemiosła Adolf Rudnicki wydał ostatnio „Kartki sportowe" 5). Ta szczupła książeczka uderza wdziękiem i mądrością literatury dużej klasy Literatury niepozbawionej zresztą swoistych błędów, obciążonej swoistą natarczywą kokieterią wielu nadużytych środków literackiego wyrazu Przypomina ona pewną swych wdzięków kobietę, która nieświadoma specyfiki terenu, na jaki wstępuje wdziewając sportowe szaty. nadużyła makijażu, a teraz oto, w słońcu i pocie szminka roztapia się i rozmazuje Literaturę sportową cechuje ciasno pojęty dydaktyzm — tym większy blask ma w tym zestawieniu książeczka Rudnickiego. Zbyt jednak wyraźnie jest to jednak blask nie dający światła. Rudnicki jest zbyt mądrym pisarzem, by na długo zapomnieć, że nie tylko to, jak pisarz mówi, ale i to ile ma do powiedzenia — stanowi o jego randze. Otóż Rudnicki w „Kartkach Sportowych" mówi pięknie, ale nie specjalnie wiele ma do powiedzenia. Cenić trzeba rzadki w naszej literaturze rodzaj aforystycznej anegdoty, którą uraczyć nas potrafi na pół stroniczce tekstu, cieszyć się trzeba z niejednej rozsypanej tu, zwięzłej jak muskulatura biegacza, myśli z zakresu psychologii, czy tak zwanej mądrości życia. Ale niesposób oprzeć się wrażeniu, że jest to beztroski, niefrasobliwy trening zawodnika, który nie myśli o poważnym starcie.



Widzieliśmy oto upadki i — wzloty ludzi, którzy swoją robotą chcą wnieść ład w ludzkie sprawy, a teraz mamy na oku lekkie pląsy na Olimpie. Tamci przepadli w walce, ten się od walki uchylą. Ale cóż, dobrze jest, że i na Olimpie budzi się ruch. Do licha, i tam więc można by założyć ludowy zespół sportowy. Dopiero byśmy zobaczyli klasę!

NORMY TEJ „S. P. O."

Cóż, w obecnym stanie rzeczy trzeba sobie powiedzieć, że wielka dziedzina pisarstwa jest u nas nie uprawiana, lub uprawiana źle. Tak, wielka dziedzina Nie mierzymy jej ani ilością omówionych tu pokrótce prób pisarskich, ani ich literacką wartością. Mierzymy ogromnym obszarem, jaki zajmuje ona w życiu społecznym, mimo cherlawego i przypadkowego odbicia w literaturze. A przecież zawsze jest tak, że najpierw rodzi się jakaś sprawa w życiu, potem odradza w literaturze. Sport, puszczony przed wojną „na żywioł", stał się dziś ważnym instrumentem wychowywania nowego, sprawnego do pracy i obrony, obywatela. Jest funkcją literatury, w dużej mierze literatury sportowej, by był on sprawny nie tylko fizycznie, lecz przede wszystkim psychicznie. Jakież są normy tej swoistej „SPO", jakie wyznaczyć jej musi krytyka?

Nie są w niczym różne od tych, jakie stawia się literaturze w ogóle. Nie wierzymy w jakąkolwiek w tym sensie specjalizację problemową, która by umożliwiała poruszanie się w sferze oddziaływania literatury bez legitymowania się listem żelaznym jej artystycznych kryteriów. Sport nie jest jakimś dziwnym pasem pogranicznym między życiem właściwym a życiem „na niby", i powieść sportowa nie może być czymś pośrednim między grafomanią a literaturą, jest albo jednym albo drugim.

Tymczasem zrozumienie roli sportu, a niezrozumienie funkcji literatury na tym odcinku, prowadzi często do wypaczeń, z pozoru jedynie śmiesznych. W wykazie lektury uzupełniającej dla klasy VII-ej znajdziemy obok książek wielkich wychowawców społeczeństwa radzieckiego jak Krymow, Ażajew, obok naszych klasyków jak Żeromski, Prus, omówioną na wstępie książeczkę Sumińskiego i Domaniewskiego. Niewątpliwie jest w tym i wina naszej krytyki, która — wbrew życiu — nie zauważyła książek słabych, ale też przez to na pewno szkodliwych Artykuł ten jest chyba tu i ówdzie zbyt ostry, ale na krytykę nigdy nie jest „po niewczasie". Musi sobie o tym przypomnieć i krytyka literacka. Może wówczas będziemy bez uśmiechu zażenowania oglądać „książki sportowe" obok naszych i radzieckich klasyków.

Roman Bratny

1) M. Sumiński i T. Domaniewski — „Druga wachta" Wydawn. „Książka i Wiedza", str 88.

2) T. Rejniak — „Szybownicy", wyd. M.O.N. str 198

3) T. Gutkowski i R. Kosiński „Brygada ze stali", wyd M.O.N., str 182.

4) A. Bahdaj — „Ich pierwszy start", wyd. Ludowa Spółdz. Wydawnicza, str. 315

5) A. Rudnicki — „Kartki sportowe", wyd. „Książka i Wiedza", str. 88.

WANDA KARCZEWSKA

MÓJ GŁOS

Ja,
córka spalonej w Oświęcimiu matki
i zabitego w nim młodszego brata
oddaję oto głos wyborczy —
przeciw śmierci.

Przeciwko piecom,
gdzie się paliły stosy ciał
i przeciw kulom w ludzkiej piersi.
Przeciw strachowi wroga,
który się słowa — Polska — tak ogromnie bał,
że usta prowadzonych na śmierć dzieci
betonem murował,
by słowo to miłością z nich
jak granat nie wybuchło.

Ja,
córka siedemdziesięcioletniego ojca
i siostra jedynego, ocalałego z wojny brata
głosuję dziś—
na życie.
Na spokój ponad domem moich ojców,
na ciszę w naszym starym sadzie,
i brzęk owadów w kwiatach,
gdzie się po pracy ojciec w słońcu
śród grusz i jabłoni kładzie.

Głosuję na ruch ręki mego brata,
gdy przesuwa ją po włosach młodej żony
i mówi wzrokiem:
to matka dzieci mych, jeszcze nienarodzonych.
Głosuję na schyloną nad skryptami głowę
bratanka mego, dziecko robotnicze,
które nad tajemnicą drży Pasteura i Pawłowa,
by od zarazy ciała i umysłu
móc kiedyś ludzkość bronić —
na męstwo naszych serc,
na jasność i rozwagę myśli,
na siłę naszych dłoni.

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

Ilustrował S. KOBYLIŃSKI

SZCZĘŚCIE

Majster odlewniczy białych metali Jan Marciniak potrafi godzinami tłumaczyć uczniom tajemnice swego zawodu, choć nigdy nie mówi, dlaczego to robi. I czuje do nich żal, jeżeli się nie uczą, jeżeli życia nie biorą poważnie. Z wielkim spokojem w swych nieruchomych prawie rybich oczach, i takim samym spokojem w swym dużym ciele cierpliwie przekonuje, że od tego jak się uczą i jacy są zależy szczęście, bezpieczeństwo, przyszłość kraju.

Jak się stało jednak, że to właśnie on wziął się tak gorąco do pracy i nabrał tak opiekuńczego stosunku do młodszych?

Przecież dawniej mawiał, kiedy szło o dokonanie jakiegoś większego wysiłku zbiorowego:

— Ja nie. Na mnie w tym nie liczcie. Swoje zrobię na pewno, ale uważam to za wystarczające.

A uzasadniał to tak:

— Inni przed wojną pracowali dobrze ze strachu przed bezrobociem i przed nędzą, a ja dlatego, że lubiłem pracę. Inni dziś wpadliby w próżniactwo, żeby nie współzawodnictwo, ale mnie to niepotrzebne, bo ja zawsze pracuję jednakowo. I teraz i dawniej — jednakowo.

Jeszcze na parę lat przed wojną — tak ciągle dobrze pracując — wyrobił sobie opinię człowieka, który nie zawodzi, i świetnego fachowca, co miał sobie za rękojmię, że nie będzie bezrobotny, że bieda nie zajrzy nigdy do jego domu.

— Wszystkich zwolnią, ale nie mnie — mawiał z uśmiechem, kiedy rozmawiało się na temat kryzysu, bezrobocia.

I miał rację. Bo nawet kiedy rozszalało się największe bezrobocie, to on nie stracił pracy. Fabrykę zamknęli, dwa tysiące ludzi zwolnili, ale jego nie. Bo właśnie jego, żeby go nie stracić, wzięli sobie do drobnych warsztatowych robót w zamkniętej fabryce.

— Wy, Hans, mój człowiek — powiedział mu fabrykant, Niemiec. — Ja wam nie dam zginąć.

Podali sobie przy tej okazji ręce uśmiechnęli się do siebie jak przyjaciele. Mieli podobny stosunek do świata, który zaraz wyraził się następującymi słowami fabrykanta:

— Trzymam was nie dlatego, żebym was lubił, bo ja lubię tylko swoją żonę swoje dzieci i swój „biznes", ale dlatego, żem się nigdy nie zawiódł na waszej pracy.

Marciniak tak samo myślał o życiu. Żona, dzieci, praca, to wszystko. A fabrykanta Kirscha cenił za to, że Kirsch potrafił ocenić jego, Marciniaka, pracę.

Jeszcze piękniejsze i już pełne życie zaczęło się dla Marciniaka, kiedy spotkał dziewczynę, która miała stać się tą jego żoną, matką jego dzieci, wszystkim w jego życiu, celem tego życia i celem jego porządnej, „zawsze jednakowej" pracy. Był młody i wesoły, zdolny i pracowity, spokojny o swą przyszłość, kiedy śliczna Józefinka dosłownie „wpłynęła" w jego życie.

— Patrz, płynie Józefinka — powiedziała jego siostra, kiedy pewnego lata leżeli nad brzegiem jeziora.

— Kto to?

— Nie znasz? — zdziwiła się siostra i krzyknęła: — Józefka! Do nas! Do nas!

Ta podpłynęła do ich brzegu, śmiejąc się do nich wesoło. Odtąd towarzyszyła mu w życiu jej pogoda, jej śmiech radosny, uczciwość, dobroć, pracowitość. Grosz do grosza uskładali sobie trochę pieniążków w banku, mieli dobre ubrania, mieszkanko śliczne, ciepłe, wygodne, milusie. Abażury, chodniki, narzuty, wszystko lubili, żeby było miękkie. Potem jedno dziecko i drugie — skarby prześliczne. A te ich małżeńskie słówka, a te uśmiechy serdeczne, te niby kaprysy... Marciniakowi, gdy nieraz sobie w pracy pomyślał o domu, serce biło mocno, mocno. Tak, to było szczęście. Zamknięte w wyściełanym, mięciutkim gniazdeczku, w ozdobnej klateczce rozszczebiotanych papużek.

Raz tylko, ale na krótko, zamącił się ten piękny obraz, kiedy w fabryce wybuchł strajk. Zebrania, agitacja, wzburzenie. Marciniak nie chodził na zebrania, nie słuchał agitatorów, z ludźmi w tej sprawie dużo nie mówił, ale kiedy wreszcie wybuchł strajk, do pracy nie poszedł, choć zgłosiło się tam trochę ludzi, choć po niego pilnie przysyłali. Dlaczego nie poszedł? Przecież miał najwyższą grupę, i strajk nic mu nie dawał. Przecież w ten sposób tylko narażał się fabrykantowi, który odtąd miał wiedzieć, że na Marciniaka nie zawsze można liczyć.



Na te pytania Marciniak nie potrafił sobie odpowiedzieć. A kiedy strajk się skończył, kiedy stanął do swej zwykłej pracy — nikt nie myślał prześladować go za udział w strajku — Marciniak czuł jako wyraźną przykrość, że ludzie przychodzili do niego, ściskali mu rękę lub klepali po ramieniu i mówili po polsku albo po niemiecku:

— Tak, tak, Marciniak to swój chłop, Marciniak sehr gut. Ja, ja.

— A nie zawracajcie mi głowy — odpowiadał. I otrząsał się od poklepywania.

Ale z drugiej strony swoją decyzję tak niezrozumiałą dla samego siebie, uważał za słuszną. Leżąc na wyszczotkowanym, pluszowym tapczanie z dwoma rozbawionymi chłopczykami, pieszcząc palcami główkę dziewczynki, myślał:

— Jak to dobrze, że jest coś we mnie co mi w trudnej chwili powie jak mam postąpić.

I to wtedy pomyślał jak całe szczęście jego życia jest kruche, na jak słabych jest zbudowane podstawach. Bo przecież strajk mógł trwać dłużej i pieniądze mogły się wyczerpać. Bo przecież mogli jego, Marciniaka, zamknąć do więzienia za to, że zbierał składki. Za to, że go ludzie wybrali swym mężem zaufania. Owszem, zbierał te składki, nie mógłby się zaprzeć. Chodził po ludziach, żądał, dawał też i ze swoich ciężko zapracowanych groszy — na strajkujących, na bezrobotnych, na aresztowanych — żeby się nie czuć winnym, że go przyjęli do pracy, że pracował kiedy chodziło bez zajęcia wielu ludzi lepiej kwalifikowanych niż on, lepszych pracowników, fachowców — nawet Niemców — nie mogących znaleźć pracy, kiedy on, Polak, był protegowanym niemieckiego fabrykanta.

Niepokój wkradł się do jego duszy. Jak dawniej starali się zatracić w swym szczęściu, zapomnieć, na jakim świecie żyją. Nie interesowały ich sprawy strajków i atmosfery wojennej, nie chcieli wiedzieć nic, poza drogą z domu do fabryki, z fabryki do domu. Ale nawet na tej drodze, nawet w fabryce, nawet w sieni domu czekało podniecenie, które zapowiadało nowy cios. Aż wreszcie cios ten przyszedł.

Oto szedł Marciniak na poranną zmianę do fabryki. Człowiek o rybich, prawie nieruchomych oczach, o twardych palcach, gnących żelazo. Zdawałoby się na pozór, że taki człowiek nic nie może przeżywać, a on przeżywał tak wiele. Szedł ulicą czując, że nieszczęście jest tuż. I rzeczywiście wyszło na niego tego ranka o godzinie czwartej trzydzieści — z warkotem niemieckich motocykli wojskowych.

— Jak to? Już się stało? — pomyślał ze strasznym zdumieniem — pierwszym w swoim życiu.

Patrzył, jak przejeżdżali przez opustoszałe miasto.

— Co teraz będzie? Co będzie?— zastanawiał się, stojąc pod murem.

Oto szli ci, od których nauczył się swego zawodu, od których wziął sąd o świecie, o życiu. Ci, których stawiał sobie za wzór. To z ich powodu całe życie chciał być coraz lepszy i jako człowiek, i jako specjalista. Szli ci, od których wziął sobie żonę. Kochał ją coraz goręcej i starał się być coraz lepszy, żeby oni nie mogli powiedzieć:

— Wyszła za Polaka, nieszczęsna.

Przeciwnie, czyż nie musieli mówić jej bracia i siostry:

— Jakież ma piękne życie nasza Józefinka. To taki prawy człowiek. Wygrała wielki los.

A on czyż nie czuł się jednym z nich? Czyż nie nauczył się nawet ich języka? Czyż nie uważał ich za swoich najbliższych? I czyż zaraz tego samego dnia, obejmując rządy, nie mówili do niego:

— Hans, ty jesteś nasz. Nie będziesz miał z nami krzywdy.

Wrócił do domu myśląc, że z tego już naprawdę nie potrafi znaleźć wyjścia. Stać się jednym z nich, to znaczy zdrajcą? Czy też porzucić Józefinę i dzieci, wrócić do swoich? Wtedy ona też razem z dziećmi, przystałaby do swoich...

— Hans — powiedziała nagle Józefina, stając przed nim z najmłodszym dzieckiem na ręce. — Hans, ty się męczysz. My musimy stąd odejść.

Blada była. Męczyła się i ona.

— Hans, musimy stąd odejść. Daleko. Do twoich.

— Przecież to są twoi.

— Nie. Twoi są moi.

— Ty to mówisz naprawdę — stwierdził Marciniak.

— Tak — odpowiedziała. — Tylko Hans, bez głupstw. Zrób wszystko mądrze. Jak zwykle.

Nie, nie popełnili żadnych głupstw. Przeczekali nawałnicę, przygotowali wszystko jak rozsądni, rozważni ludzie, jednakowi w pracy i w swoich decyzjach. I oto któregoś dnia znaleźli się we wsi nad Wisłą, gdzie w niewielkim domku koło kuźni pojawiły się w oknach wykrochmalone firanki i kobietka nie bardzo dobrze mówiąca po polsku... Czeszka. W kuźni, mając na sobie gruby fartuch, pracował nowy kowal, „brat tego Marciniaka zza gaju". Pracował — zawsze jednakowo — dobroduszny, spokojny, na zamyślenie pozwalając sobie dopiero w domu, kiedy na pluszowym tapczanie bawił się z dziećmi i mówił:

— Wasz ojciec nie będzie już pracował w tamtych fabrykach. Nie będzie pracował dla nich — teraz. Nie będzie z nimi — teraz.

Ale patrząc na butę, potęgę i uzbrojenie wojsk przejeżdżających na wschód, myślał, że tak już zostanie na zawsze. Jego dzieci będą się uczyły przy nim na prostych wiejskich kowali — nie otrzymają wysokich kwalifikacji, o jakich dla nich marzył. I myślał o tym, że z tamtych stron — znad granicy — już wywieźli wszystkich opornych, że fala zbliżała się i tutaj.

Jakże to wszystko stało się dziś dalekie, prawie zapomniane! Ten list na przykład, który Józefa otrzymała od swej rodziny. Pisali to, co Marciniak rozumiał i sam — aż nadto dobrze. Że tu nie będzie dla nich ratunku. Że skazuje dzieci na nędzę, niewolnictwo. Że tej potędze nic się na świecie nie oprze.

Prawie zapomniana i ta scena, kiedy to wkrótce potem, jak dostał ten list, zjawił się u niego brat „zza gaju", stanął przed nim w podartych portkach, bosy, opasany rzemieniem. Jego brat miał buty, owszem. I miał porządne ubranie. Ale tak się zdarzyło, że wracając z roboty stanął przed nim właśnie taki obdarty, tylko że wcale nie smutny. Wysłuchał długich wywżań Jana, wysłuchał tłumaczenia niemieckiego listu, potem uśmiechnął się wesoło, wetknął Janowi w rękę parę karteluszków i na to całe niemieckie kazanie powiedział po polsku zdanie rosyjskie, tak wówczas głośne na świecie:

I na naszej ulicy będzie święto.

W pół roku później Marciniak przekonał się na własne oczy, że ten naród, o którym słyszał tylko, że jest zacofany, zrobił jednak „pewne" postępy. Przez Wisłę przeprawiały się dziesiątki tysięcy ludzi za olbrzymimi czołgami, z którymi nie mogły równać się czołgi niemieckie. Jechały działa i katiusze, przed którymi uciekały w panice tamte wojska. Jechały niekończące się kolumny samochodów z amunicją, a samoloty zakryły niebo. Nauczyli się to wszystko robić — i to z powodzeniem. Nauczyli się tego wszystkiego używać— też z powodzeniem. Nie musieli iść do innych po postęp techniczny. Tworzyli go u siebie, i mieli rację. Ironicznie mówione zdania, z którymi dawniej tak się Marciniak otrzaskał: „zacofany kraj", „wzięli swój los w swoje ręce" straciły swój pogardliwy sens.

— Psia krew — mruknął z uznaniem i z zazdrością. — My też powinniśmy wziąć się do pracy.

Zaczął pracować — owszem. Wzięli go przecież zaraz do jednej z największych fabryk, dali piękne mieszkanie, przysłali samochód do przewiezienia rodziny i rzeczy, dali należne stanowisko. Cenili go jako fachowca, cenili jego pracę. I wszystko w jego życiu zaczęło iść jak dawniej. Znowu mieszkanie cieplutkie, bogate, bo nic nie stracili, a wiele rzeczy przybyło. Z żony zrobiła się kobieta dojrzała, mądra, piękna. Dzieci rosły, kształciły się — można być spokojnym o ich przyszłość. Były jak on: z łatwością gięły żelazo twardymi palcami — i tak samo jak on — chciwe nauki. Marciniak i teraz słuchał zachodniego radia, i jak dawniej uwielbiał dalekich ludzi — tym razem jeszcze dalszych — za ich wyższość techniczną, za doskonałość ich pracy. Ale biorąc do ręki jakiś przedmiot wykonany za granicą, i porównując go z takim samym przedmiotem, wykonanym w kraju, zamyślał się głęboko. Słuchał tamtych obcych słów, że „kraje wschodniej i południowo-wschodniej Europy powinny stać się dla Zachodu bazą surowców, produktów rolnych i taniej siły roboczej" — i zamyślał się znowu.

„Surowców?" — powtarzał. — „Produktów rolnych? Taniej siły roboczej? Hm".

I powtarzając swoje „ja zawsze pracuję jednakowo — dawniej i dziś", czuł — że to nie to. „Zawsze jednakowo?" Po wrześniu i po okupacji — też jednakowo? Dziś powinien by pracować więcej i lepiej, a pracował przecież mniej, gorzej, wolniej. Czy dlatego, że mu tak pochlebiali? Czy dlatego, że poczuł się wreszcie bezpieczny? Że nie groziło mu ani bezrobocie, ani bezdomność, ani głód, ani nędza, ani troska o przyszłość dzieci?

Jego odlewnia tymczasem przestawiała się częściowo na inną produkcję. Wychodziły jakieś zarządzenia — o których jednak Marciniak tylko słyszał. Odbywały się narady — o których też tylko słyszał. Narady, które sobie nazwali pewnym tajemniczym słowem. I kiedy je mówili, Marciniak wiedział, że jest poza tym. A nieraz podnosząc głowę znad roboty, spotykał oczy sekretarza partyjnego, który patrzył w niego nieraz zamyślony, nieraz uważny, jakby go badał. I Marciniak zaczynał się czuć tutaj zbędny.

— Przecież pracuję — myślał z goryczą, zgarbiony nad swoim stołem. — Przecież nic mi nie mogą zarzucić. Czego chcą?

Aż oto któregoś dnia wpadł do warsztatu jego syn starszy — praktykant, już prawie inżynier — oczko w głowie fabryki i Partii. Wpadł z książką pod pachą i zalakowaną torbą w ręce.

— Ojciec podpisze odbiór—powiewiedział kładąc mu na stole otwartą książkę i torbę. I z jakimś szelmowskim błyskiem w oczach dodał:—I do roboty, ojczulku. Więcej, prędzej, lepiej. Tak naprawdę trzeba.

Marciniak podpisał. Rozciął kopertę, wyjął pismo i próbki. Tak, to było to. To było to, od czego odsuwali go dotychczas, czym się mieli zabezpieczyć przeciw powrotowi bezrobocia, niepewności i nędzy, przeciw wrześniowi i okupacji. Marciniak wstał i wyprostował się, odsunął kartkę na długość ramienia. Jego syn stał ciągle przed nim i patrzył mu w oczy. A w duszy Marciniaka kończyła się jego dotychczasowa walka.

— Mnie to dali? Mnie? — powiedział.

— Tobie.

A więc wbrew niemu postanawiając, że szczęście kraju będzie oparte na trwalszych podstawach, przychodzili jednak do niego.

— I wiedzieli, co robią — powiedział.

A kiedy jego przyjaciele przypominali mu później żartobliwie jego własne dawniejsze słowa: „nie liczcie na mnie", Marciniak patrząc na nich oczami, zmęczonymi po wytężonej pracy, odpowiadał po swojemu, niechętnie:

— A dajcież mi spokój!

Bo gadać dużo — i teraz nie lubił. Przyjaciele więc oglądali drobne, aluminiowe przedmioty, odlewane z precyzją przez niego, ważyli je w rękach rozumiejąc, że ważą losy wielkiego planu, i mówili:

– A my przecież wiedzieliśmy, że na ciebie możemy liczyć.

Bogusław Kuczyński

JACEK BOCHEŃSKI

ROLNIK, PRACOWNIK UMYSŁOWY

Pisarze znają pewien typ marzenia, które towarzyszy ich całemu życiu, nigdy nie gaśnie, a potrzebne jest artyście jak tlen. Gdy to marzenie wyziębnie, pisarz schnie na próchno. Marzenie dotyczy dzieła jeszcze nie napisanego, ale zamierzonego zawsze jako lepsze od dotychczasowych, niedoskonałych druków. W tej tęsknocie zawiera się cała osobista radość i siła żywotna pisarza. Zamykamy ukończoną książkę z przykrym uczuciem: „nie powiedziałem tego, co chciałem", ale zaraz dodajemy: „jeszcze powiem, jeszcze znajdę lepszy sposób mówienia" i zaczynamy pisać rzecz nową. Uśmiechamy się stale do przyszłości, twórcy-marzyciele, ludzie nieustającej wiary. Podobny uśmiech właściwy jest uczonym, wynalazcom, wszystkim, którzy szukają i tworzą. Czy także rolnikom?

Było to tego dnia, gdy poznałem Apolinarego Wojciechowskiego, chłopa spod Przasnysza, zaliczającego się niewątpliwie do pracowników umysłowych z uwagi na charakter czynności gospodarskich, które wykonuje.

Chciałbym najpierw opisać jego twarz i w ogóle wygląd zewnętrzny, bo to jest ważne. On wcale nie wygląda na człowieka pracującego umysłowo. Twarz jego taka, że nie mogłem zdecydować, do kogo spośród wielu chłopów, którzy tam wtedy stali, trzeba podejść, aby trafić na Wojciechowskiego. To się działo w Dzieżgowie przed gminną spółdzielnią. Przywieźli kontraktowane zboże i było ich wielu, po prostu tłok. Twarze mieli ciemne (słońce dobrze piekło tego lata), rysy zwyczajne, grube, spojrzenie chłodne, ot jak na Mazowszu, gdzie naród chłopski jest jakiś bryłowaty, przyciężki, naród-mruk. Bo na Mazowszu, jak zresztą wszędzie, lud od pokoleń cierpiał tyle krzywd i poniżeń, że tylko oczy przymrużył i tak te krzywdy nosi w sobie, a gadać nie lubi. Apolinary Wojciechowski ma też przymrużone oczy mazowieckie. Skóra ziemista (już jesień), cała postać jakby trochę przygarbiona, lecz wzrost słuszny, a czarny płaszcz poza kolana jeszcze go wydłuża. Tak wygląda ten mój pracownik umysłowy, na oko — zwykły chłop, który — zdawałoby się — nic szczególnego nie ma w głowie i nic wielkiego nie czyni.

Dopiero później, w rozmowie nastąpiła niespodzianka. Uśmiechnął się nagle w ten sam sposób, w jaki uśmiechają się poeci do swych przyszłych poematów, uczeni do wynalazków. Na podwórzu przed gminną spółdzielnią, wśród ckliwego zapachu koni, wylazł z niego romantyk. Trzeba było widzieć błysk w oczach Wojciechowskiego!

— Tajemnica jeszcze nie zbadana — powiedział. A po chwili:

— Na razie tajemnica, ale jakby tak kiedyś, tego owego... jakby tę tajemnicę... Co, panie, co?

I urwał. Tylko migotaniem źrenic i uśmiechem zdradzał, że myśli: „No, no, zobaczymy jeszcze, czy się ten sekret nie da rozgryźć, spróbujemy się jeszcze, tajemnico, oko w oko".

— A jakby było sto kwintali? — szepnął tonem, którym zakochany chłopak mógłby mówić o spełnieniu marzeń. Zaraz potem przeprosił i odszedł, miał niby sprawy do załatwienia, a ja podejrzewam, że się trochę zawstydził, bo rozmowa była zbyt intymna.

Muszę wyjaśnić: zebrał w tym roku ze swego pola wspaniałą pszenicę. Wypadło pięćdziesiąt kwintali z hektara. Gdy w Polsce rolnik zbierze dwadzieścia pięć, to już jest krzyk: brawo, przodownik! Nawiasem mówiąc, Wojciechowski został w roku ubiegłym odznaczony Krzyżem Zasługi. Ale ten człowiek z jesieni na jesień notuje po omłocie wyższą wydajność. Więc ostatnio miał pięćdziesiąt kwintali i wtedy właśnie przeczytał w gazecie o pewnym PGR-ze. Otóż ów PGR zebrał z pólka doświadczalnego 62 kwintale na hektar. Wojciechowski pomyślał najpierw, że to niemożliwe, a później, że widocznie tajemnica przyrody. Jeśli jednak tajemnica, to tajemnicę można odkryć. Ileż razy już rozwiązywał szereg podobnych zagadek i rosła przez to jego wiedza rolnicza, a plony stawały się bogatsze. Postanowił dalej eksperymentować, aż uzyska sam 62 kwintale albo i więcej. To się rozstrzygnie w przyszłym roku.

— Wystarczy mi jeden metr kwadratowy gruntu— powiada Wojciechowski i obejmuje ramionami kawałek powietrza, niby ów grunt. — Zasiałem pszenicę, dajmy na to. Urodziło. — Wojciechowski pochyla się nad wyimaginowanymi kłosami, zgarnia w ręce i pieści spojrzeniem. — Młócę. No i z jednego metra kwadratowego wymłóciłem kilogram ziarna. To ile będzie z hektara? Sto kwintali?

Znowu sobie marzy. Bo u Wojciechowskiego tak na przemian: rachunek i marzenie, rozumowanie i tęsknoty.

Jechaliśmy później wozem do jego domu. Pytałem, jak zrealizował dostawy obowiązkowe zbóż dla Państwa. W ilu procentach, bo pewnie sprzedawał ponad plan? Tego on dobrze nie wie. Przestał już liczyć. Sprzedaje, co ma, normy go nawet nie obchodzą, tyle razy je przekraczał.

Czy dawno już tak eksperymentuje na roli? O, dawno, ale na szerszą skalę zaczął dopiero po wojnie, kiedy poznał Miczurina i Łysenkę. Dawniej zresztą robił to tylko dla siebie, a teraz...

— Teraz zajmuję się upowszechnieniem wiedzy rolniczej. Ludziom przekazuję.

Gadało się jeszcze trochę o polityce, na tym wozie. O spółdzielniach produkcyjnych. Że tam dopiero można by stosować racjonalne uprawy i że gdyby tak wszyscy wspólnie robili, jak Wojciechowski u siebie, to niezłe byłoby życie na wsi, prawda? W przyszłym ustroju zniknie różnica między wsią i miastem, ale chyba i tak na wsi będzie przyjemniej, bo lepsze powietrze. A kułacy już teraz inaczej gadają. Nie straszą wspólnymi żonami i nędzą w spółdzielniach produkcyjnych, bo naród zmądrzał, widzi spółdzielnie i wie, jak w nich jest. Więc obecnie kułacy przepowiadają wojnę, mówią, że czasy niepewne, że obszarnicy wrócą i odbiorą ziemię spółdzielcom, ot taka jest dziś propaganda wroga klasowego.

Dojechaliśmy i już było ciemnawo, więc gospodarki Wojciechowskiego nie obejrzałem dokładnie. Pokazał tyle, co koło domu: jedno pólko doświadczalne (a ma ich osiemnaście), poplony, uprawę sorgo (nie udało się, trzeba będzie spróbować drugi raz). Zaprosił do mieszkania.

Tam go zapytałem, jakie szkoły kończył. Nie kończył. Chodził tylko do powszechnej. A jest samoukiem. Książki — owszem, książek ma dość.

— Z tej biblioteki czerpałem swoje metody.

Przynosi: Osieczańskiego „Biologiczne podstawy użytkowania łąk i pastwisk". Safonowa „Ziemię kwitnącą", Ozierowa „Choroby i higiena zwierząt gospodarskich", całe stosy fachowej literatury. A potem: „Krótki kurs WKP(b)", „Cichy Don", powieści, czasopisma.

Zasiedzieliśmy się do późna nad książkami. Musiałem wracać. A przy pożegnaniu umówiliśmy się na spotkanie w Warszawie. Gdzie? Mam go szukać w Sejmie.

Jest bowiem kandydatem na posła.

Jacek Bocheński

TADEUSZ KUBIAK

JESIENNY REPORTAŻ ZNAD ODRY

1

Nie łatwo żyć w miasteczku ruin.
Lecz i tu można w przyszłość wierzyć.
W miesiącu wrześniu nad ulicą
Pierwszego Maja wschodzi księżyc.

2

Zaglądam w okna ratuszowe.
To właśnie miejska biblioteka.
„Dzień dobry Słucham. Jest Żeromski.
Lecz musi chwilę pan poczekać.“

3

Mogę godzinę nawet czekać.
To nic Przede mną stoi człowiek,
który przez całe życie czekał
na polską książkę w Sulechowie.

4

Kocham Przedwiośnie. Po sto razy
mógłbym je czytać.
Ja, widzicie,
raz wziąłem polską książkę w rękę
i odcierpiałem w Moabicie.“

5

„Tak sobie dzisiaj czasem myślę —
Książka i Polska, to — to samo.
Dotknąć rękami Mieć przy sobie.
Dobranoc. Na mnie czas.“
Dobranoc.

6

Ich liebe Polska. Za wyznanie
takie — o. gdyby można wskrzesić
zawlókłby nawet Wita Stwosza
do Moabitu kanclerz Rzeszy.

7

Nad miastem wschodzi gwiazda Syriusz.
Nie wiem — jak gwiazda po niemiecku.
Kalecząc, jak pień wierzby — mowę
polską — pozdrawia mnie tu dziecko.

8

Jak się masz, mała. Ja wiem dobrze —
jak ziarno z ziarna, jak sól z soli
tu każde słowo mojej mowy
z tego co boli, bardzo boli.

JAN KOPROWSKI

PODRÓŻE PO OPOLSZCZYŹNIE

Na pożegnanie pierwszych dwu literackich ekip terenowych, działających na Opolszczyźnie, zorganizowano 3 bm. w Opolu zbiorowy wieczór z udziałem Centkiewicza, Kazimierza Koźniewskiego, Wojciecha Żukrowskiego oraz autora niniejszego artykułu W chwili rozpoczęcia naszego występu, napływający nieustannie ludzie zatrzymywali się, z braku miejsc, w drzwiach sali liceum i oblegali wejścia od strony korytarza. Zainteresowanie imprezą przeszło najśmielsze oczekiwania. Uwagę moją zwróciło dwu mężczyzn, siedzących w pierwszym rzędzie krzeseł. Jeden starszy już, kolejarz, drugi — młodziutki, szczupły, lat może osiemnaście. W pewnym momencie zauważyłem, że młodzieniec spogląda gorączkowo na zegarek i daje jakieś znaki owemu starszemu człowiekowi. Kolejarz machnął ręką i słuchał dalej naszych opowieści o książkach, pracy pisarza i znaczeniu słowa drukowanego w dzisiejszych czasach. Z początku nie rozumiałem zupełnie, o co im chodzi. Później dopiero dowiedziałem się: syn dawał ojcu znaki, że zbliża się pora odjazdu pociągu. Obaj bowiem pracują w Opolu, ale dojeżdżają z Groszowic — miejsca swego stałego zamieszkania. Zrezygnowali z wyjazdu, by wysłuchać do końca występów pisarzy i następnie zabrać głos w dyskusji. Stary kolejarz Piotr Ploch jest autochtonem. Wyrósł i wychował się na ziemi opolskiej, na tej ziemi walczył w szeregach robotniczych o wyzwolenie społeczne i narodowe. Jego przemówienie w dyskusji było niezwykle ciepłe i serdeczne. Pięknym starym językiem śląskim opowiadał o sobie i swojej pracy. A potem zwrócił się wprost do nas ze słowami:

— Przyjedźcie do mnie, obywatele, opowiem wam dokładnie o tych bojach, a wy to wszystko opiszecie. bo szkoda, żeby to uleciało bez śladu. Możecie w moim domu zamieszkać, możecie spać u mnie, nawet i pożywienie się znajdzie. tylko przyjedźcie. My was bardzo potrzebujemy. Piszecie dla nas. to i przyjeżdżajcie do nas jak najczęściej.

PYTANIA CZYTELNIKÓW

Długo rozmawialiśmy z Piotrem Plochem, robotnikiem opolskiej parowozowni, zasłużonym bojownikiem w walkach o polskość Śląska. Po wieczorze obstąpili nas młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. W jednym rogu sali Wojciech Żukrowski opowiadał z humorem o losach bohaterów, zanim dostaną się oni na karty powieści; w innym Kazimierz Koźniewski odpowiadał na liczne zapytania, dotyczące tematyki młodzieżowej w naszej współczesnej literaturze; Centkiewicza oblegali tłumnie młodzieńcy ciekawi przygód autora na wyspie Niedźwiedziej i papaninowskiej wyprawy do Bieguna.

Miałem i ja swój krąg rozmówców. Pytali, jak się pisze wiersze i jak się to w ogóle tworzy, czy pisarz czerpie materiał z życia, czy też zmyśla. Znalazła się również w tym kręgu młoda nauczycielka, Małgorzata Wawrosz, która podobnie jak Ploch upomniała się o tematykę historyczną Śląska Opolskiego, o biografie powieściowe rewolucyjnych przywódców chłopskich z okresu Wiosny Ludów: Marcina Gorzołki i Krystiana Minkusa.

— „Bardzo nam trzeba książek o przeszłości naszej opolskiej ziemi, o pięknych, postępowych tradycjach ludu śląskiego. — Potrzebne są nam również książki o dzisiejszym życiu na tym terenie, o tym, co się tutaj obecnie dzieje. Przyjeżdżajcie i piszcie. Będziemy wam w tym pomagali“.

Późno w noc wracaliśmy do swoich domów pełni wrażeń, bardzo zadowoleni, powiem więcej: szczęśliwi.

SPOTKANIE NA GÓRZE ŚW. ANNY

Ów wieczór w Opolu nie był bynajmniej zdarzeniem odosobnionym. W ciągu siedmiodniowego pobytu na Opolszczyźnie nie było wypadku, by występ nie doszedł do skutku. Wszędzie oczekiwano nas z niecierpliwością. Jeździliśmy nie tylko na odległe wsie, do spółdzielni produkcyjnych i PGR-ów, ale również do zakładów produkcyjnych, rozrzuconych po całym województwie, i do szkół Oprócz pisarzy brali w każdej ekipie udział aktorzy. W mojej grupie, obok Wilhelma Szewczyka i Wojciecha Żukrowskiego, występowali artyści scen warszawskich: Janina Niczewska i Józef Kostecki. Pisarze mówili o literaturze współczesnej, czytali własne utwory, aktorzy recytowali najlepsze utwory Mickiewicza: „Czaty“, fragmenty „Pana Tadeusza“ i bajki. Powstał w ten sposób jakby pomost pomiędzy klasyką a współczesnością.

Szczególnie wzruszające było spotkanie z mieszkańcami na Górze św. Anny, gdzie tak niedawno odbywał się wielki zlot młodzieży opolskiej, gdzie w wykutym w skale amfiteatrze wobec 200.000 widzów wystąpiło po raz pierwszy na Śląsku Opolskim „Mazowsze“. Mimo że od występu „Mazowsza“ minął czas niezbyt odległy, wszędzie w terenie zetknęliśmy się już z osiągnięciami tej imprezy. Młodzież opolska śpiewa z upodobaniem piosenki ludowe, tworzy własne wiejskie i szkolne zespoły, wydobywa na jaw stare, niesłusznie zapomniane pieśni śląskie.

Z obecnych na naszym wieczorze 300 osób 90 proc. stanowili autochtoni. Z zapartym tchem słuchali oni utworów Mickiewicza. Nastrój wzmagał się z każdą chwilą. Ktoś podnosi rękę nieśmiało. To jakaś starsza kobiecina prosi o wygłoszenie „Ody do młodości“. Sala trzęsie się od oklasków. Dla przodującej gromady w gminie św. Anny — gromady Kadłubiec — przekazujemy biblioteczkę, złożoną z 63 pozycji starych i nowych pisarzy. Przedstawiciel chłopów, Antoni Wieliczko, dziękuje Związkowi Literatów za ten dar i oświadcza, że gromada, którą reprezentuje, będzie jeszcze wydajniej pracować dla dobra naszego państwa.

Oto zabiera głos młodzież. Młodziutka autochtonka zwraca się do pisarzy ze słowami: „Książki dostarczają nam wiele przeżyć. Nieraz w rozmowie naszej można słyszeć: ach, jak ten autor pięknie pisze, albo: jaka to ładna książka, ja ją jednym tchem przeczytałam. Ale chcieliśmy widzieć tych, którzy piszą książki. Dziś widzieliśmy pisarzy Polski Ludowej. Dziś mogliśmy również posłuchać pięknie recytowanych wierszy. Będą one dla nas wzorem, jak mamy się wierszy uczyć, jak z nich korzystać“.

Młodziutki uczeń Edward Szymczyszyn prosi w imieniu dzieci:

— „Powiedzcie, kiedy znowu przyjedziecie. My chcemy was widzieć u nas. Bądźcie z nami w stałym kontakcie“.

Tym apelem żegnano nas w każdej miejscowości. I w Koźlu, i w Gogolinie, i w Strzelcach Opolskich, i w Zębowicach, i wszędzie, gdzieśmy występowali, proszono: „przyjeżdżajcie jak najczęściej, a już raz na kwartał to koniecznie“.

DYSPUTA KRYTYCZNA W ŚWIETLICY

Czytelnik w naszym kraju staje się coraz bardziej wymagający. Coraz więcej czyta i wie coraz więcej. Przekonaliśmy się o tym w Koźlu-Porcie. Początkowo wieczór zapowiadał się raczej ospale. Sala dość niska, akustyka kiepska. Ale gdy przyszło do dyskusji, ludzie tak się rozgadali, że znowu późnym wieczorem wracaliśmy do naszej bazy w Opolu. Dyskutanci podnieśli kilka kapitalnych spraw, nieprzewentylowanych jeszcze dostatecznie przez naszą krytykę „Na przykład rola fantastyki w twórczości realizmu socjalistycznego. Co o tym sądzicie? — pytali. Jaki jest i jaki być może udział fantazji w utworze realistycznym“. Najpierw pytali, a potem dyskutując sami rozwijali zagadnienie, odpowiadali na nie, szukali odpowiednich sformułowań. Polemizowali przy tym między sobą w sposób gorący i poważny zarazem.

Powstawały nowe problemy. Na przykład: jak autor radzi sobie z opisami procesów technicznych i spraw fachowych?

I znów, nie czekając na nasze wypowiedzi, sami dosnuwali rozmyślania swoje do końca. Podobnie, jak w innych miejscowościach, na sali przeważali autochtoni, stanowiący najwyższy procent ludności Koźla. Kobiety przychodziły z dziećmi na rękach, zjawili się starzy, posunięci w latach, rybacy.

Wieczór taki w Koźlu odbywał się po raz pierwszy. Świetlicowy, zatroskany o pracę na swoim terenie, skorzystał z okazji, by zapytać, jak należy urządzać atrakcyjne i przyciągające wieczory literackie. Młody nauczyciel wystąpił z apelem, by pisarze więcej pisali scenicznych utworów dla młodzieży.

— „W tej chwili — powiedział — gdy trzeba będzie wystawić jakąś sztukę w naszym szkolnym teatrze, to jesteśmy naprawdę w kłopocie. Nie ma co wybierać. A młodzież garnie się do sceny, do aktorstwa. Powiedzcie tam w Warszawie waszym kolegom, że to jest strasznie ważne zagadnienie“.

URODZAJNE MIASTECZKO

Gogolin zapisał się w naszej pamięci jako „wylęgarnia“ talentów. Dowiedzieliśmy się zaraz na wstępie, że właśnie stąd, z Gogolina, wyjechał do szkoły dramatycznej w Krakowie uzdolniony autochton Jakubek. „Szkoda, że nie ma tu dziś naszego Jakubka“ — mówili zebrani, a obecnych na wieczorze było ponad 500 osób. „On by wam pokazał, jak się opowiada gadki śląskie“. „Ten ma talent do tego“ — dodaje ktoś z tłumu. „Egzamin zdał bez trudu“ — opowiadają Gogolinianie — a musicie wiedzieć, że kandydatów było mnogo. Nasz Jakubek nie zawstydził nas. Będzie on dobrym artystą, zobaczycie“.

Jakubek jest synem robotnika, i mieszkańcy Gogolina mówią o tym z dumą.

Na nasz wieczór przyszli ludzie z okolicznych miejscowości — Januszkowic i Krapkowic. Z tych Krapkowic, w których mieszka siwa osiemdziesiecioletnia Paulina Wagnerowa, bojowniczka sprawy robotniczej, współtowarzyszka Róży Luksemburg i Karola Liebknechta.

Przyszli oni nie tylko po to, by dowiedzieć sie od pisarzy, jak powstaje powieść czy wiersz, ale i w celu wyrażenia im swych życzeń i próśb.

— „Oczekujemy od waszych książek pomocy. — A pomożecie nam wtedy tylko, gdy poznacie nas i nasze życie“.

I znowu powtarzany wielokrotnie apel: „przyjeżdżajcie, piszcie, nigdy nie będzie waszych przyjazdów za wiele“.

Podeszli do nas z wypiekami na twarzy dwaj młodzi chłopcy: Rainhold Oremek i Jerzy Drapalski.

— „Piszemy Chcemy być pisarzami. Udzielcie nam rad i wskazówek“.

Nie łatwo udzielić rady stawiającym pierwsze kroki w literaturze. „Nieustanna praca nad sobą — zdobywanie wiedzy, poznawanie życia i terenu — oto drogi wiodące do nowego, socjalistycznego pisarstwa. Piszcie do waszej gazety, „Trybuny Opolskiej“, o życiu swojej wsi czy miasteczka. Od tego trzeba chyba zacząć“.

Powiadomiliśmy o nich Koło Młodych, które przed miesiącem zawiązało się w Opolu i zgrupowało kilka interesujących talentów. M. in. zwrócił naszą uwagę młody dziennikarz „Trybuny Opolskiej“, ciążący ku literaturze — Ryszard Hajduk oraz pisarz Bałaban, którego reportaże o Opolszczyźnie ukażą się niebawem nakładem „Czytelnika“.

LITERACI ŚPIEWAJĄ

W spółdzielni produkcyjnej w Zębowicach wieczór nasz uświetniły występy miejscowych zespołów śpiewu i tańca. Zresztą omal przy wszystkich naszych imprezach odbywały się takie występy, co w ogromnym stopniu przyczyniało się do stworzenia serdecznej, prawdziwie mobilizującej atmosfery. Ale atmosfera wytworzona w Zębowicach nie miała sobie równej. Młodzież śpiewała i tańczyła Małe dziewczynki z przedszkola recytowały wiersze z taką swadą i wdziękiem, że sala trzęsła się po prostu z zachwytu. Dorośli mieli łzy w oczach.

Nastrój stawał się coraz serdeczniejszy. Rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy, śpiewaliśmy wspólnie piosenki. Na zakończenie zebrani zaintonowali spontanicznie „Międzynarodówkę“, a następnie Hymn Młodzieży Demokratycznej. Śpiewaliśmy trzymając się za ręce.

(Dokończenie na str. 6-ej)

SZCZECIN

— A to polskie morze.. zimne, prawda?

— Zimne—odpowiadam z pełnym przekonaniem — Ale też ładne, bardzo ładne Tak jak teraz, bywa czasem w lipcu, albo w sierpniu..

Tak jak teraz? — trzej Bułgarzy okutani w swetry i koce są trochę przerażeni. „Teraz“ wieje bowiem chłodny wiatr północny, pierwszy po czterdziestostopniowych upałach, które trwały tu do połowy września. „Tu“ — to znaczy w Bałcziku, nad Morzem Czarnym, w południowej Dobrudży Temperatura wody spadła z 27^{0} na mniej więcej 22^{0}. Trzech Bułgarów dostało lekkiej grypy.

— A... Szczecin? To właściwie jak... nad morzem leży? — pada pytanie.

Więc odpowiadam, jak wygląda, gdzie leży Szczecin. I myślę o tym, że już dawno tam nie byłem Akurat dwa lata Opowiadam o porcie, o przeładunku naszego węgla, którego bardzo nam tu zazdroszczą...



Nie wiedziałem wtedy, że niemal prosto z Sofii pojadę do Szczecina. W pociągu — wielu znajomych.

— Ty też z „łapanki“?

— Jak to z „łapanki“?

— Ano tak... dzwonili, żeby jechać na tę Naradę... Czemu nie? Szczecina jeszcze nie widziałem... podobno ładny...

Nie gorszcie się, czytelnicy. Jeśli stykaliście się z „rasowymi“ warszawiakami, znacie ten żargon, te dowcipy, i właściwie... A niech to diabli! Proszę! Osiem lat tu gospodarujemy, tony papieru o tym napisano, a ten tu, mój rozmówca, znakomity reżyser, laureat — nie widział Szczecina! On nie widział. Więc cóż powiedzieć o innych, co tam jadą? O tych z Pawłowic, Zalipia, Zaborowa i licho wie skąd jeszcze! O tych siedmiuset, co zjadą się tu z całej Polski, żeby dyskutować o kulturze „w terenie“. Więc jednak ma to swój istotny, głęboki sens, że właśnie na Ziemiach Odzyskanych, że w ł a ś n i e w S z c z e c i n i e... Iluż z nich zobaczy Szczecin po raz pierwszy...

*

A ci co tu już byli, ale przed paru laty, widzą, ile się zmieniło. Przy przejeździe przez Odrę — nie widać starych wraków, nie widać zatopionych w wodzie szczątków mostu. Nowe mosty, nowe dźwigi wyciągają z daleka stalowe łapy, wynurzają się z kłębów rozrosłej, rdzewiejącej już jesiennie zieloności....

— Tu gdzieś latem było miasteczko pionierów...

— A port? Czy pojedziemy do portu? Ja muszę koniecznie zobaczyć port! — woła ktoś uporczywie.

*

Po godzinie wysypujemy się (dużo, dużo nas) przed gmachem Wojewódzkiej Rady Narodowej.

— Więc to tu, w tym h i s t o r y c z n y m gmachu, na tej samej sali...

— Co znów takiego historycznego?

— Jak to? Przecież to tutaj, niespełna cztery lata temu, rzucono pierwszy raz na h i s t o r y c z n y m Zjeździe literatów — hasło walki o realizm socjalistyczny...

*

Ogólnopolska Narada Działaczy Kultury i Sztuki, która odbyła się w dniach 4—5.X. br. w Szczecinie — miała sens dwojaki.

Po pierwsze — była, jak to słusznie zaznaczył na łamach „Przeglądu Kulturalnego“ Jan Wilczek — pierwszym zjazdem, na którym spotkali się pisarze i artyści wszelkich dziedzin — z aktywem działaczy terenowych, kierowników świetlic i domów kultury. Była pierwszą tego typu imprezą, dającą okazję do wszczęcia rzeczowej, roboczej, dyskusji na temat metod pracy nad upowszechnieniem kultury, na temat współdziałania artystów z tymi, co owoce ich pracy rozprzestrzeniają w terenie.

Po drugie, miała ona — w gorącym okresie, który przeżywamy — charakter poważnej i doniosłej manifestacji ideowej aktywu naszych działaczy kulturalnych.

Ów dwojaki charakter Narady szczecińskiej zaznaczył się wyraźnie w całym jej przebiegu. Z jednej strony — w obu wygłoszonych referatach, Jana Kotta i wicemin. Wł. Sokorskiego, znalazło się wiele elementów analizy, zarówno naszych dotychczasowych osiągnięć, jak dotychczasowych trudności i braków w dziedzinie upowszechnienia kultury, co mogło stanowić odskocznię do bardzo praktycznej dyskusji. Potrzebę takiej dyskusji wyczuwało się na sali. Nawoływał do niej m. in. w swoim przemówieniu Jarosław Iwaszkiewicz. Z drugiej jednak strony — i niezmiernie szeroki zakres poruszonych zagadnień, i masowy charakter imprezy, i szczególny moment, w którym Narada się odbywała — sprawiły, iż w rezultacie dyskusja tego roboczego charakteru na ogół nie miała, była przede wszystkim — co też na pewno potrzebne i ważne — gorącą deklaracją postawy uczestników Narady wobec wielkiego dzieła, jakim jest budowa nowej, socjalistycznej kultury Polski Ludowej. Należałoby uznać ją dopiero za początek szerszej i głębszej wymiany uwag i spostrzeżeń na temat pracy działaczy kulturalnych w terenie. Za początek dyskusji, która bezwarunkowo winna znaleźć swój ciąg dalszy.

*

W obu referatach wybiła się na czoło sprawa, zaakcentowana już w tytule jednego z nich, — referatu J. Kotta: sprawa „geografii kadr kulturalnych“ naszego kraju. Jak sprawić, aby dorobek naszej kultury, aby osiągnięcia naszych pisarzy i artystów, udostępnione już dziś społeczeństwu w stopniu o wiele szerszym niż kiedykolwiek w dziejach — przenikały do tego społeczeństwa nie tylko jeszcze szerzej, ale i równomierniej? Jak sprawić, aby ze słownika naszych pojęć znikło żenujące słowo „prowincja kulturalna“? Aby w wielkiej rodzinie twórców i odbiorców dzieł sztuki i literatury nie było uprzywilejowanych z „metropolii“ i „ubogich krewnych“, do których zrzadka tylko dociera objazdowe kino, czy impreza „Artosu“?

„Teren“ musi bić się o swoich ludzi i swoje sprawy — wołał Jan Kott — musi mieć ambicję pokonania spotykanej jeszcze niekiedy bierności terenowych władz administracyjnych. Pracownik kulturalny winien mieć ustalony zakres uprawnień i obowiązków. Nie wolno—jak to niekiedy jeszcze zdarzało się w pewnych ośrodkach — kierownika świetlicy odrywać od jego zajęć i zatrudniać przy... wymiarze podatku gruntowego. Czas skończyć z zakorzenionym gdzieniegdzie przekonaniem, że urzędnik, który w żadnej innej pracy nie umie dać sobie rady, może być z powodzeniem .. referentem kulturalnym.



Gwarkowa Maria, koronkarka

Ze złą praktyką „wyrywania“ z terenu zdolniejszych aktywistów, przenoszenia ich do większych ośrodków należy skończyć — to jedno. Z drugiej jednak strony, „teren“ musi zdawać sobie sprawę, że z z e w n ą t r z aktywu działaczy kulturalnych nie dostanie; że sam musi sobie ten aktyw wychować...

Teza Kotta o „wychowywaniu sobie kadr kulturalnych przez teren“ spotkała się w dyskusji z zastrzeżeniami. To nie takie proste—oponował prof. Eibisch — nie wolno liczyć na to, że teren sam wychowa artystów. Kultury nie tworzy się w oderwaniu od wielkich jej centrów, trzeba organizować wymianę ludzi, trzeba młodych i zdolnych brać, kształcić i oddawać „terenowi“. Niewątpliwie słuszne.

Dane cyfrowe, w które obfitował referat min Sokorskiego, dokumentowały zarówno ogrom dzieła dokonanego przez Polskę Ludową w tym zakresie, jak ogrom zadań, jakie jeszcze przed nami stoją. Podwoiliśmy, lub potroiliśmy liczbę kin, teatrów,, oper i filharmonii, zwielokrotniliśmy liczbę bibliotek — to prawda. Ale podczas gdy na mieszkańca Warszawy wypada w stosunku rocznym przeciętnie 5 imprez kulturalnych, a na mieszkańców większych miast wojewódzkich 3 lub 4, to na wsi 1 impreza wypada rocznie na 12 mieszkańców! O ile na jednego obywatela w całym kraju wypada przeciętnie 2,3 książki w bibliotekach, to dla wsi stosunek ten wyraża się cyfrą jednej tylko książki na mieszkańca!

Wyłaniające się z tego stanu rzeczy postulaty ujęto w uchwalonej przez Naradę rezolucji, jako trzy kategorie zagadnień:

1) Zagadnienie rozszerzenia sieci instytucji kulturalnych, takich jak świetlice, punkty biblioteczne, teatry objazdowe, muzea itp oraz ich przestrzennego rozplanowania.

2) zagadnienie kadr działaczy kulturalnych, ich szkolenia, ich pozycji w państwowym aparacie oświatowym i administracyjnym..

3) zagadnienie współpracy instytucji centralnych i większych ośrodków z terenem, opieki nad terenowymi ośrodkami twórczości artystycznej, wzmocnienia więzi z tymi ośrodkami.

„W dni wielkiej mobilizacji naszego narodu wokół platformy wyborczej Frontu Narodowego — stwierdził w referacie swoim min. Sokorski — pracownicy kultury i ludzie sztuki biorą na siebie uroczyste zobowiązanie przesunięcia frontu rewolucji kulturalnej głęboko w teren, ogarniając nim każde miasto, osiedle i każdą gromadę wiejską i tym samym czynnie uczestnicząc z całym narodem w jego walce o zbudowanie socjalizmu w naszym kraju i umocnienie jego niepodległości, bezpieczeństwa i pokoju“.

Mimo iż, jak wyżej wspomniano, dyskusja, była co najwyżej zapoczątkowaniem roboczej wymiany zdań na tematy objęte Naradą i dotknęła zaledwie cząstki wiążących się z nią problemów — nie zabrakło w niej głosów, które w sposób konkretny obrazowały wysiłek terenowych działaczy kulturalnych. Przed zebranymi przesunął się żywy film codziennych spraw i trosk szeregowych pracowników wielkiej armii kultury, nauczycieli, kierowników świetlic, artystów ludowych, opowiadających o pracy, jaką prowadzą w swoich ośrodkach.

*

O szczególnej wymowie faktu, że terenem Narady był wysunięty bastion naszej roboty kulturalnej, Szczecin, wspomnieliśmy już wyżej. Czynny udział w Naradzie brali szczecińscy pisarze, kandydaci na posłów ze szczecińskiego okręgu — Andrzejewski i Osmańczyk. Pierwszy mówił o planach i zadaniach „Przeglądu Kulturalnego“, drugi — o terenowej pracy kulturalnej w Szczecinie, przypominając, że w czasach niemieckich ten wówczas niezniszczony, wielki ośrodek handlowy — był kulturalną pustynią, nie miał ani jednej wyższej uczelni, podczas gdy dziś polski Szczecin jest siedzibą kilku uczelni i żywym ośrodkiem kulturalnym. O życiu kulturalnym Szczecina mówił trzeci z pisarzy szczecińskich, Witold Wirpsza, występujący w imieniu tutejszych związków artystycznych.

W gorący sposób powitały Naradę delegacje szczecińskich robotników, chłopów województwa szczecińskiego, miejscowej młodzieży. Wzruszający akcent w obradach stanowiło powitanie Narady przez delegację dziecięcą.

Szczecin użyczył Zjazdowi swojej pięknej „oprawy jesiennej“, czarował szpalerami rudziejącej zieleni, rozległą perspektywą Odry z lasem dźwigów portowych. Przez dwa dni miasto żyło Naradą. Odbyły się liczne spotkania jej uczestników z ludnością w zakładach pracy. Pierwszego wieczoru oglądaliśmy ciekawe występy miejscowych zespołów świetlicowych, drugiego dnia — podziwialiśmy ogrom prac dokonanych w porcie. Barwną klamrą zamykającą dni szczecińskiej Narady był wreszcie występ „Mazowsza“, który dwukrotnie w dniu 4 i 5 października zgromadził w wielkiej hali sportowej kilkutysięczny tłum widzów.

Jeśli chodzi o meritum spraw poruszanych na Naradzie, to domaga się ono niewątpliwie dalszego ciągu nie tylko w dalszej, pogłębionej dyskusji nad objętymi nią problemami, ale w odpowiednich posunięciach organizacyjnych. Od nich właściwie zależy, czy główny cel Narady będzie można już wnajbliższym czasie uważać za osiągnięty.

Obserwator

Walka o radziecki scenariusz trwa

Wytyczne XIX Zjazdu WKP(b) w sprawie planu pięcioletniego przewidują, między innymi, zwiększenie produkcji filmów, oraz rozbudowę sieci kin na terenie całego kraju.

W związku z tym jeszcze raz stanęła na porządku dziennym sprawa właściwej organizacji pracy kinematografii radzieckiej, przede wszystkim zaś sprawa scenariusza.

Trudności napotykane przy opracowywaniu odpowiednich scenariuszy filmowych są już od kilku lat główną bolączką filmu radzieckiego. Mimo licznych dyskusji w prasie oraz usiłowań właściwego rozwiązania tej sprawy, podejmowanych w Ministerstwie Kinematografii ZSRR, oraz w Związku Pisarzy Radzieckich, daje się odczuwać w dalszym ciągu brak, tak właściwych metod pracy, jak i odpowiedniej ilości scenariuszy.

Ostatnie lata wykazują spadek produkcji filmowej w ZSRR. Ostatni rok przyniósł zaledwie kilka wartościowych pozycji. Spadek produkcji filmowej, tak pod względem ilościowym jak i jakościowym, hamuje, a niejednokrotnie uniemożliwia nawet, awans artystyczny młodych kadr filmowych.

W tych warunkach na łamach „Litieraturnej Gaziety" rozpoczęła się nowa dyskusja na temat scenariuszy. Ponieważ w aktualnej sytuacji, panującej w filmie radzieckim, nie trudno, z uwzględnieniem wszelkich proporcji, dopatrzyć się analogii do sytuacji w kinematografii polskiej, przeto wiele wniosków i postulatów dyskusji zachowuje swoją celność i aktualność i na naszym terenie.

Jaki jest zasadniczy moment tej nowej dyskusji? Jest nim rozjaśnienie sytuacji przez obalenie błędnej opinii, że jedyną i zasadniczą trudnością kinematografii jest brak scenariuszy, na skutek braku zainteresowania problematyką filmową w środowisku literackim.

Dyskusja wykazała w sposób oczywisty, że wadliwa organizacja kinematografii wyklucza możliwość powstania atmosfery twórczej, w której rozwiązanie sprawy scenariopisarstwa staje się osiągalne.

Inicjator dyskusji w „Litieraturnej Gazietie" K. Simonow*) kładzie zasadniczy nacisk na sprawę właściwego planu tematycznego kinematografii. Każde wydawnictwo książkowe i każde pismo — stwierdza Simonow — czyni słusznie, dbając przede wszystkim o to, aby w jego planach znalazły odbicie najważniejsze tematy i problemy współczesności. „Ale, z chwilą znalezienia tematów (choćby i najlepszych) i wstawienia ich do planu (choćby najbardziej wszechstronnego i wyczerpującego), nie należy bynajmniej sądzić, że zadanie zostało wykonane i że wytknięto świetne perspektywy rozwojowe".

„Taki system planowania — ciągnie Simonow — w istocie pozbawiony jest twórczego oddechu. Warunkiem rzetelnego planu jest przekonanie, że nakreślone tematy istotnie znajdą swoich autorów, którzy opracują je nie w sposób rzemieślniczy, ale z pasją, zainteresowaniem i uczciwie. Tego przekonania nie czuje się w istniejących planach scenariuszowych".

Autor artykułu widzi tu dwie główne przyczyny. Pierwsza z nich to niewątpliwe, jeszcze zbyt, małe zrozumienie dla filmu w środowisku literackim („Nie wszyscy jeszcze pisarze nauczyli się pojmować film, jako najważniejszą ze sztuk, a Związek Pisarzy zbyt mało starał się wyjaśnić literatom to zagadnienie i określić właściwe stosunki pomiędzy literaturą a kinematografią"). Literaci, którzy „poważnie i uczciwie traktują swój zawód, niepoważnie ustosunkowują się do pracy w filmie", zajmując się nią ubocznie. Druga jednak przyczyna chwiejności i małej konkretności planu scenariuszy leży w Ministerstwie Kinematografii, które w swej współpracy z literatami nie uwzględnia ich zainteresowań i możliwości. Każdy z nich ma przecież jakieś swoje własne zainteresowania tematyczne, swój własny sposób pisania — stąd też, zdaniem Simonowa, „mówić można o obustronnym niepoważnym podejściu do sprawy".

Oczywiście nie znaczy to, aby indywidualne zainteresowania pisarza należało traktować jako jakieś zamknięte i niedostępne sanktuarium. Film może oczywiście wystąpić w roli inspiratora, pobudzać zainteresowania i wskazywać tematy. Ale musi to być zabieg twórczy, a nie mechaniczny, administracyjny.

Simonow podnosi jeszcze jedną, istotną również i u nas, sprawę związaną ze stosunkiem literatów do scenariopisarstwa. Chodzi tu mianowicie o to, że pisarze mając do zrealizowania jakiś swój własny, twórczy zamysł, nigdy prawie nie szukają dlań ujścia w filmie. „W pismach literacko-artystycznych pojawiają się nowele, wiersze, opowiadania, ale ja osobiście nie przypominam sobie wypadku opublikowania scenariusza napisanego przez literata z jego własnej inicjatywy, bez uprzedniego zawarcia umowy z wytwórnią filmową, dla której scenariusz jest przeznaczony. Fakt ten mówi o tym, że bardzo często sam autor nie uważa swego scenariusza za samodzielne i wartościowe dzieło sztuki". Simonow atakuje również błąd, polegający na „niedopracowywaniu scenariusza", gdy autor z góry liczy się z szeregiem przeróbek i poprawek, jakim scenariusz ulegnie w wytwórni. W konsekwencji powstaje scenariusz blady i anemiczny, a poprawki wytwórni pozbawiają go resztek życia.

W ślad za artykułem Simonowa, „Litieraturnaja Gazieta" zamieściła wiele wypowiedzi literatów i filmowców, będącymi odpowiedzią na rozesłaną przez redakcję ankietę w sprawach filmu **).

Ankieta zawierała następujących 6 pytań:

1) jakie są przyczyny braku dobrych scenariuszy?

2) co powinno zrobić Ministerstwo Kinematografii celem zwiększenia napływu scenariuszy?

3) co powinien zrobić Związek Pisarzy celem ściślejszego związania literatów z filmem?

4) co odpowiadający na ankietę sądzi o obecnym systemie oceny scenariusza przez wytwórnię (droga scenariusza, redaktorzy, itd.)?

5) co odpowiadający na ankietę sądzi o formach pracy z autorem wytwórni?

6) jakie należy podjąć kroki, celem ściślejszego związania literatów z kinodramaturgią?

Najciekawszą i najodważniejszą odpowiedzią na ankietę jest odpowiedź znanego i wybitnego reżysera Iwana Pyriewa. Pyriew, podobnie jak i pozostali dyskutanci, stwierdza, iż mniemanie, że brak dobrych filmów i niska produkcja są jedynie spowodowane brakiem scenariuszy jest ogromnym uproszczeniem sprawy.

„Przyczyną niedostatecznej produkcji filmów jest cały złożony kompleks różnych zagadnień, łącznie z zagadnieniem scenariusza. Wydaje mi się, że są to sprawy następujące:

a) biurokratyczne (a nie żywe — operatywne i twórcze) metody kierowania kinematografią.

b) przestarzały system organizacyjny kinematografii, istniejący już od 15 z górą lat bez żadnych zmian, a oprócz tego mała powierzchnia pawilonów zdjęciowych oraz ich niedostateczne wyposażenie techniczne.

c) dotkliwy brak wykwalifikowanych reżyserów; starych stopniowo ubywa, nowych brak. Młoda kadra reżyserska jest po pierwsze — niewłaściwie przygotowana w Wszechzwiązkowym Państwowym Instytucie Kinematografii (WGIK), a po wtóre — przy małej produkcji filmów — nie ma ona szans otrzymania samodzielnej pracy.

d) brak prawdziwie twórczego kolektywu w filmie.

Następnie Pyriew obszernie odpowiada na dwa pierwsze pytania postawione w ankiecie „Litieraturnej Gaziety". Autor stwierdza, że po znanej uchwale CK WKP(b) z 1946 r. w sprawie filmu „Wielkie życie" nastąpiło w filmie radzieckim ożywienie, które przyniosło w rezultacie wzrost produkcji pod względem ilościowym i jakościowym w latach 1947-48. Należało wykorzystać ten moment dla wzmocnienia bazy technicznej i ulepszenia organizacji kinematografii. Ponieważ nie uczyniono tego, już w r. 1951 „nasza sztuka filmowa znalazła się w stanie zastoju". W planowaniu scenariuszy przyjęto błędny stosunek ilości filmów do ilości scenariuszy, mający się jak jeden do jednego, co stwarza możliwość poważnych zaburzeń w wypadku zaistnienia jakichkolwiek trudności przy opracowywaniu scenariusza. Skutkiem tego, aby nie zawalać planu produkcji filmów, za wszelką cenę „dociągano" słabe scenariusze. „W tym celu — pisze Pyriew — zatrudniano rozmaitego rodzaju współautorów, konsultantów, a nawet niekiedy specjalnych „scenarzystów do dialogu". W rezultacie scenariusz tracił swoją jednolitość artystyczną, indywidualny autorski styl, film zaś wychodził ubogi, schematyczny. Autor zaś (jeśli był on istotnie artystą) wynosił z tej pracy nie zadowolenie, a niesmak".

Pyriew krytykuje dalej znaną i u nas tendencję tworzenia filmu „uniwersalnego", aby przy małej produkcji „opędzić" nim wszystkie najważniejsze problemy polityczne.

Tak, zdaniem Pyriewa, przedstawia się konto Ministerstwa Kinematografii w sprawie scenariopisarstwa.

Powodem jednak kryzysu w tej dziedzinie są — jak stwierdza reżyser — i sami scenarzyści. Zdarzają się wśród nich ludzie mało obeznani z życiem, zbyt mało jeżdżący w teren. Ci napotykają na duże trudności w opracowaniu oryginalnego i świeżego scenariusza. Scenarzyści ci chętnie godzą się na podsuwane im gotowe tematy, przy czym cechuje ich niezwykła „uniwersalność": mogą z równą łatwością pisać o MTS (odpowiednik naszego POM-u) jak i o Flocie Wojennej".

Na pytanie, czy istnieje możliwość osiągnięcia dostatecznej ilości dobrych scenariuszy Pyriew odpowiada twierdząco, kładąc tu nacisk przede wszystkim na wykorzystanie istniejących rezerw. Rezerwy te, to przodująca kadra pisarzy radzieckich, młode kadry wychowanków wydziału scenariopisarskiego WGIK, oraz utalentowani pisarze z prowincji, z republik radzieckich. „Pojawili się również za granicą bliscy nam ideowo pisarze. Prace ich są publikowane w naszych pismach, wystawiane w teatrach, nagradzane Nagrodami Stalinowskimi. Jak widzicie więc — konkluduje Pyriew — nie brak u nas twórców, mogących opracowywać scenariusze filmowe". Dla wykorzystania tych rezerw potrzebne są w pierwszym rzędzie ożywione, częste kontakty twórców z produkcją filmową. Pisarze winni być częstymi gośćmi w wytwórni, asystować przy zdjęciach, uczestniczyć w przeglądach materiałów, celem zainteresowania się pracą w filmie, zapoznania się z artystycznymi dążeniami reżyserów. Należy organizować wyjazdy reżyserów i redaktorów w teren dla zetknięcia ich z prowincjonalnymi pisarzami. Należy wreszcie ożywić pracę Sekcji scenariopisarskiej przy ZPR.

Na temat pracy sekcji wypowiedział się również w tym samym numerze „Litieraturnej Gaziety" Aleksy Surkow, pisząc: „Sekcja może i powinna stać się ośrodkiem mobilizującym aktywność pisarzy przez organizowanie interesujących dyskusji na tematy twórcze". Surkow wysuwa również kilka nowych w dyskusji momentów, proponując m. in., aby w planach produkcyjnych pozostawić pewien limit na filmy, których tematy inspirowane będą nie przez kierownictwo kinematografii, ale przez autorów. Ze szczególnym naciskiem Surkow podkreśla konieczność zwerbowania do pracy nad scenariuszem w wytwórni grona rozsądnych i znających się na pracy literackiej i filmowej redaktorów. Podobnie jak Pyriew, Surkow wskazuje, że dla usunięcia dotychczasowych trudności konieczna jest twórcza i zdrowa atmosfera w gronie aktywu twórczego filmu — wśród scenarzystów i reżyserów.

Reżyser Michał Cziaureli, w swym artykule pt. „Ukochanie zawodu", podkreśla doniosłość i wielostronność sztuki filmowej, będącej syntezą innych sztuk: radzieckiej literatury, malarstwa, rzeźby, muzyki i najlepszych tradycji rosyjskiego teatru. Cziaureli zwraca szczególną uwagę na znajomość pracy filmowej tak niezbędnej dla scenarzysty pisząc:

„Jeśli dramaturg zna prawa rządzące teatrem, prawa dramaturgii, sposób przygotowywania przedstawienia, to pisarze, którzy przychodzą do nas, powinni choć w przybliżeniu znać całą złożoność naszej pracy, jej właściwości, pisać nie jedynie „libretta" czy „scenariusze literackie", ale pracując ręka w rękę z reżyserem pamiętać o całej skomplikowanej specyfice dalszej pracy nad realizacją filmu".

Jeden z zasadniczych warunków takiego twórczego i nacechowanego zapałem stosunku do pracy w filmie określa w swoim wystąpieniu Borys Gorbatow.

„Gdy pisarz pracuje nad powieścią, wierszem, czy nowelą — pisze Gorbatow — ma on zawsze to niezłomne przekonanie, że jeśli napisze dobre dzieło, to z pewnością ujrzy ono światło dzienne. Kiedy zaś pisarz opracowuje scenariusz — to nie ma żadnej pewności, że zamówiona u niego praca będzie wykorzystana. O losie scenariusza decyduje nie tylko jego wartość, ale wiele nie dających się przewidzieć przyczyn, a w ostateczności mała produkcja filmowa. Pojawienie się nowych scenariuszy filmowych bardzo, ale to bardzo, zależy od tego czy istnieje możliwość ich realizacji".

Zarówno w wypowiedziach pisarzy jak i filmowców przejawia się wyraźnie bardzo cenna, optymistyczna nuta — stanowcze przekonanie, że sprawa stworzenia przyjacielskich więzi pomiędzy twórcami filmowymi a pisarzami jest sprawą realną i że uda się ją urzeczywistnić.

W tym samym numerze „Litieraturnej Gaziety" opublikowano wywiad z ministrem kinematografii Bolszakowem, który w swej wypowiedzi daje przegląd aktualnej sytuacji na odcinku scenariopisarstwa, oraz wskazuje na konieczność ożywienia działalności sekcji scenariopisarskich przy oddziałach Związku Pisarzy Radzieckich.

„Litieraturnaja Gazieta" zamyka cykl wypowiedzi na tematy filmu obszernym artykułem redakcyjnym pt. „Więcej dobrych filmów". Artykuł ten stwierdza, że w porównaniu z okresem po Uchwale CK WKP(b) o filmie „Wielkie życie", oraz z okresem wojny, istnieje wyraźny odpływ pisarzy pracujących dla filmu. Szukając źródeł tego zjawiska „Litieraturnaja Gazieta" stwierdza, że stworzenie wartościowego scenariusza filmowego daje autorowi nie mniejsze zadowolenie niż praca twórcza w innej dziedzinie sztuki. „Jeśli w jakiejkolwiek dziedzinie sztuki artysta pracuje z powodzeniem, jeśli stworzone przez niego dzieła dają mu twórcze zadowolenie, takie, jakie może dać oglądany przez miliony widzów film — taki artysta nigdy „nagle", bez przyczyny, nie odwróci się od tej gałęzi sztuki".

Powołując się na wyniki ankiety artykuł stwierdza, że przyczyną kryzysu w dziedzinie scenariopisarstwa jest, wykazany w odpowiedziach na ankietę, zły system planowania i nieumiejętność słusznego wykorzystania kadr pisarskich przez film. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponosi nie tylko Ministerstwo Kinematografii, winien jest również Związek Literatów, który nie dość intensywnie pracował nad organizacją scenariopisarstwa. Winę ponoszą ci pisarze, którzy zraziwszy się pierwszymi trudnościami przestali pracować dla filmu. „Pisarz nie ma prawa traktować pracy scenarzysty jako zajęcia dodatkowego, nie pochłaniającego go całkowicie, nie wymagającego całego talentu literackiego i wszystkich sił twórczych". Artykuł stwierdza m. in., że należy w prasie literackiej umieszczać artykuły krytyczne na temat scenariuszy filmowych, podobnie jak na temat powieści czy wierszy.

W dyskusjach twórczych w środowisku filmowców rzadko podejmuje się zagadnienia scenariusza. Rezultatem tego jest „poczynający się pojawiać brak twórczych poszukiwań reżysera, sztampa występująca w grze aktorskiej... „Można by tego wszystkiego uniknąć, jeśliby realizatorzy filmowi w sposób bardziej samokrytyczny ustosunkowali się do swojej pracy"".

W konkluzji artykuł „Litieraturnej Gaziety" stwierdza, że zachodzi konieczność opracowania jasnego planu tematycznego, dającego gwarancję pełnej jego realizacji (przez Ministerstwo Kinematografii.

Opracował K. T. Toeplitz

*) K. Simonow. „Plan. Temat. Pisarz". „Lit. Gaz." Nr 105 (2978) z 30.VIII.1952 r.

**) Pisarze i kino. „Lit. Gaz." Nr. 106 (2979) z 2.IX.1952 r.

Podróże po Opolszczyźnie

(Dokończenie ze str. 5-ej)

CZEGO CHCE OPOLE

Jakież wnioski nasuwają się z tej siedmiodniowej podróży literackiej po Opolszczyźnie? Jest kilka wniosków. Spróbujmy je uporządkować: Akcja wyjazdowa na ziemie odzyskane, zapoczątkowana przez Związek Literatów, ma duże znaczenie polityczno-wychowawcze i należy ją kontynuować. Będzie ona bowiem skuteczna tylko wówczas, gdy będzie trwała.

Trzeba, by pisarze wyjeżdżający na Opolszczyznę koniecznie zapoznali się z dziejami i walką ludu śląskiego, by móc w swych wypowiedziach do walk tych nawiązywać i ukazywać ich łączność ze współczesnością. W naszych objazdach robił to świetnie Wilhelm Szewczyk, kreśląc w swojej gawędzie wysiłki rewolucyjnych pisarzy i działaczy śląskich w walce o wolność. Na Opolszczyźnie żyją jeszcze dziś ludzie, którzy jako członkowie KPD wraz z komunistami niemieckimi walczyli o uwolnienie Śląska spod jarzma junkrów pruskich.

Pomocą w tym względzie mogą być dwie książeczki: Kazimierza Popiołka „Radykalni przywódcy chłopów śląskich" i „Fakty mówią", opracowana przez zespół historyków uniwersytetu im. Bolesława Bieruta we Wrocławiu.

Nieposlednią rolę odgrywa repertuar, z jakim pisarze udają się na ziemię opolską. Oczywiście najodpowiedniejsze byłyby utwory związane z problematyką tamtego terenu. W każdym razie doświadczenie uczy, że należy unikać czytania fragmentów powieści czy poematów. Raczej posługiwać trzeba się formami małymi, zamkniętymi, przede wszystkim krótką opowieścią i wierszem. Wiersze o konkretnych sprawach i ludziach dnia dzisiejszego budzą najwyższe zainteresowanie. Przekonaliśmy się, że wiersz tzw. fabularny przyjmuje się łatwiej, niż wiersz refleksyjno opisowy.

Należy wysłać jak najrychlej na ziemię opolską kilku pisarzy-stypendystów, którzy by „adaptowali" teren dla celów swojej twórczości. Rychłe powstanie powieści i wierszy o ziemi opolskiej jest sprawą dużej wagi, podobnie jak wydobywanie i opracowywanie pieśni, tekstów i gadek śląskich, odgrywających tak wielką rolę w życiu tamtejszego ludu.

W SPRAWIE FORMALNEJ...

Wnioski natury organizacyjnej. Czytelnikowi tego artykułu nasuną się być może wątpliwości, czy wszystko odbyło się tak dobrze, jak o tym pisałem. Otóż tak było na pewno, ponieważ wyjazdy nasze na Opolszczyznę zostały dokładnie uprzednio przygotowane, aż do omówienia najdrobniejszych szczegółów z zainteresowanymi czynnikami na danym terenie włącznie.

A zatem staranne przygotowanie terenu jest podstawowym warunkiem pomyślnego przebiegu akcji.

Znakomitym pomysłem okazało się po pierwsze: wręczanie wybranym gromadom i zakładom pracy biblioteczek, i po drugie: włączenie do ekip wyjazdowych aktorów, pod warunkiem możliwie szerokiego i elastycznego repertuaru, nadającego się do każdego środowiska i terenu.

Stanowczo należy obstawać przy kontynuowaniu tej akcji, która już w pierwszej swej fazie dała bardzo dobre wyniki i okazała się potrzebna właśnie w obecnej chwili.

KORZYŚĆ PISARZA

Osobiście z Opolszyzny, którą znam dość dobrze, wywiozłem z ostatniej podróży jak najlepsze wrażenie. Myślę, że teren nie jest taki trudny, jak się nam czasem wydaje. Na Opolszczyźnie, we wsiach i miasteczkach, mogliśmy zaobserwować, jak lud autochtoniczny zrasta się z macierzą, jak uczestniczy on w naszym budownictwie, jak zanika przedział pomiędzy autochtonami i osadnikami z różnych stron kraju.

Jan Koprowski

Wśród czasopism

„Śląsk literacki" i „Kamena"

Tak się złożyło, że pierwszy, podwójny numer nowego kwartalnika literackiego „Śląsk literacki" czytałem w pociągu jadącym przez Śląsk. I zanim z okna wagonu zobaczyłem dymy Zagłębia a potem i Śląska — miałem już przed oczyma — po przeczytaniu przeszło stu stron druku nowego pisma — artystyczną panoramę tego rejonu. Nowy kwartalnik wydawany przez Oddział Związku Literatów w Katowicach potrafił od razu włączyć się w życie i problemy swego terenu. To napawa optymizmem co do dalszych jego losów i poczynań.

Przejrzyjmy w dużym skrócie treść numeru. Najsilniejszą jego stroną jest proza, a wśród niej na czoło wysuwa się fragment opowieści Marii Klimas-Błahutowej pt. „Kamienna róża", której akcja dzieje się w latach 1938 — 1946. Fragment ten, zawierający ważkie, społeczne problemy w dobrej narracji, zapowiada utwór niewątpliwie ciekawy. Interesujący jest również (mimo obciążenia pewnymi artystycznymi nieporadnościami) początek powieści Mariana Kozłowskiego pt. „Życie zaczyna się jutro", o ludziach budujących Nowe Tychy. Słabsza jest proza członka Katowickiego Koła Młodych — Włodzimierza Graba. Ciekawa przez swój temat — razi jednak artystycznym niedopracowaniem. Wydaje mi się, że przed przystąpieniem do druku redakcja winna staranniej pomóc początkującemu autorowi w ulepszeniu jego utworu.

Również poezja ma swoje mocne punkty w numerze. Poemat Aleksandra Baumgardtena „Zwykły dzień", będący próbą zamknięcia w poetyckim kształcie jednego dnia śląskiej ziemi, oraz poemat Jana Baranowicza „Spółdzielnia nad jeziorem" (drukowany również w „Nowej Kulturze") — są rzetelnym osiągnięciem tamtejszych poetów. Główną część numeru zamyka wnikliwy, ożywiony beletrystyczną formą, essay Wilhelma Szewczyka o Karolu Miarce. Ostatnie strony pisma zapełniają recenzje książkowe, teatralne oraz kalendarz kulturalny.

W sumie można powiedzieć, że „Śląsk literacki" wystartował udatnie. Jedna tylko rzecz wydaje się niepokojąca. Śląskie środowisko literackie nie jest zbyt liczne. Posiada ono w tej chwili — jeżeli nie liczyć pism ogólnokrajowych, gdzie również przecież spotykamy utwory tamtejszych pisarzy — dwa pisma do swej dyspozycji: krakowskie „Życie literackie" jest wspólnym organem pisarzy krakowskich i śląskich; wydało ono dotąd parę numerów poświęconych wyłącznie problematyce śląskiej i śląskim pisarzom, a prócz tego drukowało nagrodzone ostatnio na konkursie nowele Wilhelma Szewczyka i Jana Brzozy. Również fragmenty noweli Graba i poematu Baumgardtena drukowane w całości w „Śląsku literackim", czytaliśmy już w „Życiu literackim", a poemat Baranowicza ukazał się w prasie literackiej dwukrotnie. Nie to jest złe, że pisarze śląscy mają szerokie możliwości druku, ale to, że równocześnie tak żywotny ośrodek pisarski jak np. Łódź nie posiada ani jednego własnego pisma literackiego.

Regionalne pisma literackie muszą być mądrze rozplanowane w terenie. Tymczasem — pierwszy numer lubelskiego kwartalnika „Kamena" świadczy, że ośrodek ten nie jest jeszcze w stanie stworzyć wartościowego pisma literackiego. Jeżeli pierwszy numer „Kameny" po wznowieniu ma jakieś pozycje interesujące i cenne, to są one pióra pisarzy nie-lubelskich. Numer otwiera essay Zbigniewa Bieńkowskiego pt. „Wiktor Hugo ma 150 lat". Wśród wielu artykułów o tym wielkim pisarzu francuskim, któreśmy mogli przeczytać w prasie polskiej w bieżącym roku — rozprawa Bieńkowskiego wyróżnia się bezsprzecznie. Artykuł ilustrują doskonale przekłady wierszy Hugo tegoż autora. Dalej mamy odczyt Jana Parandowskiego „O znaczeniu i godności tłumacza", wygłoszony przed dwoma laty na inauguracji Studium Przekładowego polskiego PEN clubu oraz cykl olimpijskich wierszy Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Poezja to raczej wtórna, ale poprawna, a zdarzają się fragmenty zupełnie udane, że wspomnę o „Biegu na 60 metrów". Z innych pozycji wspomnijmy o przedsłowiu Kazimierza Wroczyńskiego do książki „Pół wieku wspomnień teatralnych", która ukazać się ma nakładem „Czytelnika", oraz o przekładach z dorobku dwóch klasyków literatury rosyjskiej — Denisa Fonwizina (1745—1792), którego reprezentuje fragment „Niedorostka" oraz W. A. Żukowskiego (1783—1852) z fragmentami jego słynnego poematu p.t. „Pieśniarz w obozie rosyjskich wojowników", napisanego podczas wielkich dni walki wyzwoleńczej z Napoleonem.

Nie trudno spostrzec, że — poza rozprawą Bieńkowskiego — powyższe materiały są zupełnie przypadkowe i bardzo odległe od problemów Lubelszczyzny. Poza pożytecznymi i ciekawymi informacjami o wydarzeniach kulturalnych rejonu, o tamtejszym muzeum i teatrze — życiem Lubelszczyzny, stara się zająć jedynie poezja. Niestety bez powodzenia. Jedynie wiersz 18-letniego członka lubelskiego Koła Młodych — Ryszarda Liskowackiego zaliczyć można do poezji. Natomiast druk pozostałych wierszy — w ich obecnym stanie — jest nieporozumieniem.

Na zakończenie wspomnieć należy o prozie, którą reprezentuje niewielki fragment powieści historycznej Eugeniusza Gołębiowskiego „Kronika IMP Woyszy". Powieść ta, pisana językiem Paska, jest zupełnie niestrawna.

Nie warto wznawiać pisma, jeśli ma być ono tylko ośrodkiem zbytu przypadkowych i odleżałych referatów i odczytów. Nie warto go wznawiać, jeśli redakcja nie potrafi zająć się wychowaniem młodych i początkujących autorów. Lubelszczyźnie potrzebne jest pismo literackie silnie związane z życiem tego regionu, umiejące włączyć się w procesy kształtowania socjalistycznej literatury. Słowem — „Kamena" musi zdobyć się na zasadniczy przełom, w przeciwnym razie wznowienie jej nie wydaje się celowe.

Ludwik Grzeniewski

„Dziennik" Jana Szembeka (III)

EDEN O HITLERZE, ŻE „SYMPATYCZNY"

3 kwiecień 1935. Rozmowa z Edenem podczas zwiedzania Łazienek i Starego Miasta. W czasie spaceru zamieniam z Edenem parę słów na tematy polityczne. Mówię, że Hitler, dzięki swej polityce antyżydowskiej i antyliberalnej, obudził niechęć rozmaitych elementów(?) na całym świecie, które wypowiedziały mu wojnę, wyolbrzymiając siłę współczesnych Niemiec. Oświadczyłem następnie, że Niemcy nie podejmą ryzyka wojny — raczej można o to podejrzewać Rosję.

Eden z kolei podzielił się ze mną wrażeniami z Berlina. Powiedział mi, że kanclerz Hitler jest, jego zdaniem, mężem stanu niezmiernie zręcznym. Gdy zapytałem, czy „zręczność" oznacza podstępność, Eden zaprzeczył i podkreślił, że Hitler ma pozory budzące sympatię.

Rozmowa z Larochem tego samego dnia

Spotkałem Laroche'a na kolacji w poselstwie holenderskim, wszczęliśmy rozmowę na temat wizyty Edena. Powiedziałem mu, że uderzyła mnie rozbieżność w opiniach między nami i Edenem, — mianowicie ocena militarna Rosji i Niemiec. Eden zasugerował się przesadnie potęgą armii niemieckiej, nie przywiązuje zaś wagi do niebezpieczeństwa rosyjskiego. Stwierdziłem, że ta ocena jest najzupełniej fałszywa Laroche usiłował mnie przekonać, że zbrojenia Niemiec znacznie przekraczają rosyjskie.

„ROSJA NIE JEST W STANIE PROWADZIĆ WOJNY"

4 kwiecień 1935. Rozmowa z Józefem Potockim *(Ambasador w Londynie).*

Potocki streszcza mi wrażenia lorda Cranborne *(przedstawiciel konserwatystów, parokrotny minister)* z podróży delegacji angielskiej do ZSRR. Rezultaty, osiągnięte przez Rosję w dziedzinie wojskowej, są minimalne tak że *z całym spokojem można zapewnić, że Rosja nie jest w stanie wytrzymać wojny.* W Berlinie, co prawda, mówiono Anglikom o olbrzymiej potędze militarnej ZSRR, ale Cranborne uważa tę opinię za bluff niemiecki. Hitler osobiście wywarł na Anglikach jak najkorzystniejsze wrażenie.

Tego samego dnia. Rozmowa z Dębickim.

Mówi mi, że dr Reichman *(szef wydziału higieny międzynarodowej w Lidze Narodów w Genewie)* przywiózł z Zachodu wiadomości panikarskie o zbliżającej się wojnie. Tak np. Massigli *(dyplomata francuski z Quai d'Orsay)* powiedział mu dosłownie: „Trzeba być szalonym, by nie widzieć, że będzie wojna". Dębicki informuje mnie następnie, że w Gdańsku, podczas kampanii wyborczej, ministrowie niemieccy w przemówieniach podkreślali — i to wszyscy — konieczność powrotu Gdańska do Rzeszy. Opowiada mi też o nieprzyjemnej rozmowie Lipskiego z Meyerem *(przedstawiciel niemieckiego MSZ)* w sprawie należności kolejowych, oraz stosunków gospodarczych polsko-niemieckich.

Pod koniec rozmowy stwierdzamy wspólnie, Dębicki i ja, że *wszystkie pogłoski na temat wojny pochodzą z tego samego źródła, to jest ze środowiska żydowskiego i wolno-mularskiego, i rozpowszechniane są przez II i III Międzynarodówkę.*

Tego samego dnia. Rozmowa z Moltkem.

Żeby było bliżej...

PYTANIE: Jak daleko z Warszawy do Kamionki, i jaka droga?

KOMENTARZ: — z konieczności bardzo osobisty. Kamionka — to moja wieś rodzinna. Województwo rzeszowskie, powiat Dębica, wieś zapadła. Pożegnałem ją — na długo, bo aż na 11 lat — w r. 1941. Trzeba było wtedy skradać się bezdrożami, omijać straże, by ujrzeć i opłakać. Wsi już tam nie było. Na wysiedlonej z mieszkańców i opustoszałej z ludzkich siedzib śródleśnej równinie huczały detonacje wojskowych strzelnic. Kamionka stała się ćwiczebnym poligonem.

Podczas tegorocznych wakacji odwiedziłem Kamionkę. Droga z odległych o dwie mile Ropczyc, miasteczka niegdyś powiatowego, nie jest łatwa do przebycia. Dużo zmieniło się przez siedem lat w moich stronach rodzinnych, lecz ta droga pozostała taka, jak ją zapamiętałem: rzeka piasku. Najgorsze zaczyna się za historyczną Kozodrzą, pamiętną ze strajków chłopskich. Jest więc najpierw most, a w tym moście dziura przepaścista, nagła, bez żadnej przestrogi. Za tym mostem i za tą dziurą droga wylewa się piaskiem poza rowy i tak już kołuje niespiesznie coraz dalej na północ, wśród pustkowi, przez cmentarzyska wyciętych w wojnę lasów, aż do mojej wsi. Koń nagle stanął, odwrócił głowę, spojrzał całkiem po ludzku, prawie „wzruszył ramionami". — Koniu poczciwy, mieszczuchu ropczycki, czy ty nie wiesz, że pierwsza ściana lasów dzieliła tu zawsze świat na „tę stronę" i „tamtą stronę"? I że po „tamtej stronie", jak sięga pamięć, zawsze było źle? Co zastaniemy dzisiaj?

Trudno uwierzyć że ta udręczona wieś żyje znowu. Ludzie wrócili. Z tymczasowych ziemianek, w jakich przebiedowali najtrudniejszy czas, przenieśli się do nowych domów. Jest już tych domów sporo. Ładniejsze i sensowniej urządzone niż te, które pamiętam. Były kredyty państwowe, była pomoc leśnictwa, znalazł się więc budulec — i uparta Kamionka leczy wojenny postrzał. Ziemia, jak dawniej, niełaskawa, ale żyć lżej, gdy nieskory plon już nie przepada w starej krzywdzie. Do sielanki jeszcze daleko. Życie organizacyjne, oświata powszechna, formy racjonalnej gospodarki, świadomość nowych celów — to wszystko kiełkuje i rośnie z trudem wśród jałowych sośnin i wydm. Plan przebudowy walczy ze stuleciami letargu. I nie tu miejsce na obszerny wywód o przeszłości i zarysie przemian. Ludzie z Kamionki powierzyli mi sprawę konkretną, szczególnie dla nich dotkliwą: sprawę drogi do wsi i przez wieś.

— Żebyśmy nie byli tak odcięci, jużby to łatwiej wszystko szło. Ta droga żywcem nas pogrzebała. Nikt tu do nas nie trafi, nikomu nie pilno. Nam samym nawet patrzeć brzydnie. Weselej by się zrobiło, świat by się jakiś otwarł, prędzej by się chciało to chude żytko siać.

Zrobiliby tę drogę sami, żeby mieli z czego. Były kamienie, wydobyte przy karczunku lasu, ułożyli je ludzie w pryzmy wzdłuż nieszczęsnych piaszczystych kolein, ale jakiś ważny zakaz zabronił ich użycia. Pryzmy zapadły w ziemię, przerosły trawą i chwastem, a zakaz trwa. Kamienie są własnością Zarządu Lasów, zaś prawo dyspozycji ugrzęzło w niedocieczonym dla Kamionki labiryncie urzędowych kompetencji.

— Napisz o tym — przykazali mi na pożegnanie. — Zapytaj tam w Warszawie, co by zrobić żeby ta droga u nas była. Sami nie poradzimy. Do Warszawy daleko.

Staliśmy przy sklepie spółdzielczym, niedaleko szkoły. Piękny sklep — nie było takiego za mojej pamięci. I nowa szkoła ładniejsza niż ta, w której nauczono mnie pisać. Na ścianie budynku jedyny afisz powiadamia Kamionkę o odbudowie stolicy.

— Napiszę i zapytam. Daleko? — nie tak bardzo. I na pewno będzie coraz bliżej.

Wilhelm Mach

REWIZOR NA WYBRZEŻU

czyli największy pojedynek korespondencyjny sezonu

Historia, którą tu opowiem, jest autentyczna. Nie zdarzyła się ona ani w jednym z owych dziwacznych stanów nad dolnym biegiem Missisipi, opisanych przez Twaina, ani w groteskowej i bliżej nieznanej guberni, tak drogiej Gogolowi. Wszystko odbyło się w redakcji „Nowej Kultury", w miesiącach sierpniu i wrześniu 1952 roku, zaś przytoczone tu dokumenty są prawdziwe co do słowa i, odłożone do archiwum, stanowią żelazny rozdział w dziejach naszej prasy.

Przed kilku tygodniami w „Nowej Kulturze" ukazała się recenzja niedawno wydanej powieści. Krytyk stwierdził że utwór ten „porusza problematykę ważną — podejmuje trudne zadanie pisarskie, którego wielkość przewyższyła możliwości autorki; partie narratorskie są żywe i ciekawe, ale gorzej wychodzą komentarze". Ta, zdawałoby się, niewinna ocena, wywołała cykl interwencji, z udziałem różnych instancji państwowych. Redakcja otrzymała gwałtowny protest na piśmie Jego odpis znalazł się na biurku poważnej instytucji — gdzie przeprowadzono, z obowiązku, dokładne dochodzenie, konsultując w tej sprawie specjalnie zaproszonych literatów jako ekspertów. Młody recenzent odbył nieprzyjemną rozmowę w dyrekcji — również zaalarmowanej — wydawnictwa które wypuściło skrytykowaną książkę; biedak został tam surowo skarcony, za zrażanie do dalszej twórczości młodej 40-letniej autorki, w zaraniu jej trzeciego debiutu, itd. itd.

„Ale to jeszcze nie było nic", jak się mówi w bajkach, gdzie występują coraz to potworniejsze strachy. „Nowa Kultura" zamieściła artykuł o powieściach marynistycznych, gdzie omówiono też pracę pewnej autorki zamieszkałej na Wybrzeżu: „Jest to książka o dużych aspiracjach, o szlachetnych intencjach — pisał krytyk, równie nienapastliwy co jego poprzednik — ale one nie wystarczają. Realizacja zamierzeń pozostawia do życzenia". Nie minęły trzy dni, gdy redakcja otrzymała oficjalne pismo opatrzone pieczęcią i licznymi podpisami: „**...powodu niespotykanego w przyzwoitej krytyce tonu** recenzji, Zarząd Oddziału ZLP domaga się zamieszczenia załączonego artykułu. Artykuł ów rozpoczyna następujące motto:

„Przeczytał wreszcie co o nim pisano,
Lecz się myśl mściwa w sercu nie
zawzięła.
Ani się rozśmiał, ani się zasmucił,
Lecz dwakroć ziewnął i pismo
porzucił"
(Ignacy Krasicki)

Z dalszego ciągu jednak nie widać, by autor „ziewnął i pismo (tj. „Nową Kulturę") porzucił", bowiem po zapowiedzi „Powiedzmy krótko", następują cztery strony dowodzenia, że recenzent jest łobuzem. Odezwała się również autorka w liście składającym się z przeszło 20-u pytań, świadczących o bogatej skali uczuciowej, nie bez akcentu tragicznego: „Kogo chciałam „nabrać", jak mi krytyk inspiruje? **I dlaczego? Cui bono** jest preparowana recenzja wykańczająca pisarza? Czy ów krytyk w Warszawie mówiłby takim tonem o książce słabszej, ale swego kolegi, z którym się co dzień spotyka?" Mimo tak licznych wątpliwości, autorka zapewnia na końcu o swoim harcie ducha: „**To nie zachęca!** Tym więcej, jeśli się ma niełatwe tzw. życie osobiste. **ALE TO NIE WAŻNE!** Przecie nie ja jedna **I tak nie ustanę w pracy nad sobą**".

Że w pracy tej autorka nie ustała, świadczy korespondencja, jaka od owej chwili nęka redakcję „Nowej Kultury" Wypowiadają się tu osoby najrozmaitszego stanu, z olbrzymią przewagą przedstawicieli ludu, którzy piszą na kratkowanych kartkach wyrwanych z zeszytu, i zrzadka tylko używają ćwiartek papieru maszynowego znormalizowanego pokrywając go kleksami i kulfonami, jakimi w epoce Orzeszkowej sądzono, że powinien pisać proletariusz „To nieprawda coście napisali o książce obywatelki X. Mnie się podobała W świetlicy przeczytałem Jan Grajek (kleks)" Inny list datowany z Lęborka. „Nasz drogi oficer mi pokazywał. A mie si widzi że autorka nie Popiła stym panem o-dwas. Grzesiek Sówka — Marynarz z Gdańska **Prawdziwy**" („prawdziwość" jest podkreślona, ale adresu nie podał, pewnie stale na morzu, ot los żeglarza!).

Autentyczność pochodzenia odgrywa wielką rolę w tej korespondencji Są obszerne rozważania w oburzonym tonie, niezgrabnym pismem: „Jako **żona marynarza** od lat przebywam w tym środowisku i muszę wam powiedzieć, że to nie autorka książki, ale recenzent nie zna marynarzy. **Czytałam książkę z mężem, czytali ją marynarze**, z którymi stykam się codziennie. Złą przysługę robi Nowa Kultura, która chce fałszywą opinią zrazić marynarzy do czytania" Na końcu dumne zdanie: „Listy, jakie piszemy do autorki, choć nie takie „mądre" jak wasze opinie, pokażą jej, **jak inaczej od was myślą ci, którym książka ta jest bliska!** Maria Janina Mostowik, Sopot, ul. 22 Lipca 40/1"

„Pochodzę z rodziny marynarskiej; każdą pozycję literacką o morzu czytamy i dyskutujemy Przeczytaliśmy książkę obywatelki X powoli, bo pisana nie na nasz poziom" Mimo tej skromności, korespondentka nasza wykazuje precyzję w definicjach literackich: „Wypowiedź na temat książki (bo nie można nazwać krytyką, kilku powierzchownych i krzywdzących uwag) wydaje nam się niesmaczna i jednostronna Stefania Skurawa-Syczowa **z rodziną marynarzy**, Gdynia. Kielecka 2. CPLiA" (autorowie listów albo zapominają podać adres lub wymieniają go z przesadną dokładnością).

Nie tylko środowisko marynarzy pasjonuje się działem krytyki w „Nowej Kulturze"; jest list od chłopki, nadany z Bydgoszczy jako polecony: **Mam 68 lat i dużo w życiu czytałam.** Tę książkę ja i mój mąż czytaliśmy dwa razy, **bo o naszych marynarzach**. Czytało ją paru **rozgarniętych** chłopów, nauczycielka i S...ku z tartaku. Wszystkim się podobała. Wasza opinia o książce jest szkodliwa. Przyjechał tu na wieś syn jednego leśniczego, marynarz, jak przeczytał książkę zaraz ją kupił i **wrócił z nią na statek**. Raz pokazała się rzecz ciekawa o morzu, nie taka na jedno kopyto jak na przykład książki o wsi! (zagadnienie schematyzmu nie jest babci obce — przyp nasz) Jeżeli wiecie gdzie pisarka mieszka poszlijcie jej ten list. Maria Maksymowicz, wieś Tarkowo, p Nowa Wieś Wielka"

Są to opinie wstrzemięźliwe, w tonie polemicznym; mamy też inne, **których** autorowie nie zdołali opanować oburzenia. Niejaki Jan Kumiołek z Gdyni (z dodatkiem w nawiasie: „kryptonim — ujawnię się na żądanie"), po stwierdzeniu ze „osobiście podchodzi do rzeczy czytanych krytycznie ale spokojnie", rzuca pod adresem recenzenta łącznie 32 obelgi: 1) to wypracowanie, nie krytyka, 2) brak poziomu i stylu pracy, 3) powierzchowny, 4) dyletant, 5) brak tezy, 6) brak wnikliwości, dojrzałości i uczciwego podejścia, 7) bez poczucia odpowiedzialności, 8) prymityw, 9) najbrzydsza maniera krytyki, 10) tandeta itd. „Wśród czytelników „Nowej Kultury" — stwierdza ob Kumiołek w tonie wzgardliwym — jest sporo naiwniaczków ślepych na różnice między plewą i ziarnem, i tych trzeba ochraniać", kończy zaś groźnie: „Życzę redaktorowi zaostrzenia czujności!"

Odezwał się też Jan Kolec z Nowego Portu, znany redakcji jako „Skryba znad Motławy", bo pod tym pseudonimem od dawna już przysyła z Wybrzeża zjadliwe wierszyki na laureatów nagród państwowych, przypisując ich sukcesy protekcji, lizusostwu i sprzedajności jury Ten ironista niesłychanie wymagający (np o Stryjkowskim pisze: „Jeśli się kogoś aż z Włoch wywala — czyż nie zasłużył za... „Bieg do Fragala?"), tym razem staje — o dziwo! — w obronie pani X, wzywając literatów w wierszowanej fraszce, by pokazali lepszą powieść morską!

Jak w podobnym wypadku powinna postąpić redakcja? Po dojrzałym namyśle wybraliśmy **jedyną możliwą drogę**. Codziennie wieczorem cały zespół schodzi się, wraz z autorem fatalnej recenzji, na szczęście obdarzonym liczną rodziną, która walnie pomaga Po powierzchownym przestudiowaniu studium naukowego w jęz. francuskim. prof J. Renarda, „La sociologie des anonymes" (Socjologia anonimu — czy wiecie np., że klasyczny anonim zaczyna się obelgą, np. „Stary trupie", kończy zas nieodmiennym podpisem „ŻYCZLIWY"?) — przystępujemy do pracy. Kilogramy podłego papieru wyrwanego z zeszytów i odpowiednio zapaskudzonego, leżą przygotowane Przed oczyma mamy adres „Biura studiów" przy wydawnictwie, które w świat wypuściło książkę obywatelki X., wzywając czytelników do wyrażenia opinii I teraz każdy biorąc w lewą rękę pióro, ze stalówką przedtem rozgniecioną obcasem, zaczyna:

„Po przeczytaniu książki obywatelki X wyrabiam tylko 20 zamiast 800 proc. normy Doradźcie lekturę o przeciwnym działaniu Szybko! Przodownik Kikut" „Moja świnia chudnie po przeczytaniu Chlewmistrz Mordas". „Dostałem ataku boleści po lekturze książki pani X Załączam rachunek z apteki. Julian Tuwim"

„Książka obywatelki X niesłychanie mnie rozwścieczyła Wang, PKPG." „Wczoraj wywołaliśmy ducha Żeromskiego Powiedział, że jako autor „Wiatru od morza" cierpi potwornie z powodu upadku pisarstwa marynistycznego czego dowodem książka pani X. Spirytyści demokraci" „Dajcie adres pani X. — pragnę ją udusić **Prawdziwy marynarz**. Nazwiska nie podaję ze względu na tajemnicę — jestem Admirałem"

Nie zapominamy też, że pochwała, odpowiednio ustawiona, może być stokroć bardziej miażdżąca od najgwałtowniejszej napaści: „Jako pionier i założyciel schematyzmu w Polsce (powieść „Fundamenty" — już w 1946 r !) składam serdeczne życzenia z powodu wydania obywatelki X — Jerzy Pytlakowski. DOPISEK: Dołączamy się Sekcja schematystów ZLP

I tak zasilając się czarną kawą, pracujemy co noc do 4-ej rano. Jesteśmy już znużeni. Ale nie damy się — zobaczymy kto przetrzyma

Nieznawuj Giez

Z życia Z.L.P.

ZEBRANIE SEKCJI PRZEKŁADÓW

Dnia 23.9.52 odbyło się pierwsze powakacyjne posiedzenie Sekcji Przekładu, poświęcone sprawom organizacyjnym.

W sprawozdaniu ustępującego zarządu kol. Szleyenowa omówiła wyniki prac sekcji w roku ubiegłym, podkreślając fakt wzrostu ilościowego zebrań poświęconych tematom ogólnym teoretycznym na niekorzyść zagadnień czysto warsztatowych.

Referując plan prac sekcji na rok bieżący kol. Wisłowska poruszyła m in sprawę opracowania przez podsekcje językowe sprawozdań z dorobku literatury przekładowej za okres kilku ubiegłych lat. Sprawozdania takie zawierałyby zarówno ocenę jakości przekładów jak i pogląd ogólny na wartość tłumaczonych dzieł.

W dziedzinie zagadnień nie związanych ściśle z warsztatem pracy tłumacza kol. Dziarnowska mówiła m in o: 1) konieczności omówienia zagadnień krytyki przekładu na posiedzeniu sekcji, w którym udział wzięliby zainteresowani recenzenci i krytycy 2) poruszonym kilkakrotnie w ub roku zagadnieniu kontaktu tłumacza z czytelnikami (referaty informacyjne o pisarzu, którego dzieła przyswajane są literaturze polskiej itp.), 3) sprawie wyjazdu w teren do Oddziałów Związku z ciekawszymi referatami sekcji.

Kol. Miłosz poruszył sprawę przekładu dialogów filmowych Zwrócił uwagę na niski na ogół ich poziom i podkreślił konieczność zbadania przez sekcję tego niezwykle ważnego zagadnienia, jakim jest poprawność języka napisów filmowych.

Po dyskusji nad sprawozdaniem, planem prac na rok bieżący i omówieniu ważniejszych pozycji opracowywanych obecnie przez członków sekcji, przystąpiono do wyborów nowego zarządu.

W skład nowego zarządu weszli: kol kol. Wacław Rogowicz, Maria Wisłowska, Zofia Szleyen Paweł Hertz. Maria Kowalewska, Krystyna Tarnowska. Joanna Guze.

K. T.

O PLANIE PRACY SEKCJI DRAMATU

Na pierwszym organizacyjnym zebraniu Sekcji Dramatu przy warszawskim Oddziale ZLP wybrany został zarząd w następującym składzie: Halina Auderska, Kazimierz Korcelli, Stefania Podhorska-Okołów, Jerzy Pomianowski i Adam Tarn.

Ustalono wytyczne planu pracy i powzięto decyzję wzmożenia współpracy ze SPATiF-em W konsekwencji odbyło się zebranie przedstawicieli zarządu Sekcji Dramatu i prezydium SPATiF-u Wedle przedyskutowanego wspólnie planu przewidziano jeszcze w tym półroczu zorganizowanie wspólnych zebrań członków Sekcji Dramatu i SPATiF-u, celem omówienia takich tematów jak: „Lalka" i jej krytycy w opracowaniu Z. Leśnodorskiego" (21 X. br.), „Sztuki historyczne dramaturgów współczesnych na scenach w Warszawie", „Krytyka teatralna w czasopismach", „Premiera „Pociągu pancernego" W Iwanowa w teatrze w Warszawie", „Wnioski z dyskusji o dramaturgii współczesnej i krytyce literackiej na plenum Związku Literatów Radzieckich" „Książka J. Pomianowskiego „Z widowni", Sekcja Dramatu postanowiła dwukrotnie w ciągu roku odbywać sesje dyskusyjne z udziałem kierowników literackich, dramaturgów i krytyków z ośrodków prowincjonalnych, poświęcone repertuarowi naszych teatrów, a zwłaszcza dramaturgii współczesnej. Na zebraniu poruszano ważną sprawę kierownictwa literackiego w teatrze. Stwierdzono: nie obsadzenie większości stanowisk kierowników literackich w teatrach (zwłaszcza w Warszawie), brak tendencji ze strony C. Z. Teatrów do poprawy tej sytuacji w porozumieniu z ZLP. wreszcie brak jasnego określenia kompetencji kierowników literackich

Kol Iwaszkiewicz ocenił negatywnie fakt ograniczania przez CZT kompetencji Kolegium Programowego, oraz ignorowanie praw literatów-członków tego kolegium.

W dyskusji zabierali głos: kol kol Bratny, Pomianowski. Auderska i inni Z ankiety na zebraniu przeprowadzonej wynika, że lwia część dramaturgów członków sekcji pracuje obecnie nad sztukami o problematyce współczesnej

NOWY ZARZĄD ODDZIAŁU GDAŃSKIEGO ZLP

Na Walnym Zebraniu Oddziału Gdańskiego Związku Literatów Polskich, które odbyło się w dniu 23 września br. w Sopocie dokonano wyboru nowych władz Oddziału. Prezesem Oddziału została Irena Przewłocka, sekretarzem — Franciszek Fenikowski, skarbnikiem — Malwina Szczepkowska.

ZEBRANIA SEKCJI TWÓRCZYCH ZLP

Zarząd Warszawskiego Oddziału ZLP komunikuje, że najbliższe zebrania sekcji twórczych ZLP odbędą się:

W dniu 20 października br. o godz. 17-tej Sekcja Prozy Temat: powieść Jerzego Putramenta „Wrzesień".

Zebranie Sekcji Dramatu, które miało się odbyć 14 października b. m. odbędzie się dnia 21 października b. r. o godz. 16-ej w lokalu SPATiF Temat: Omówienie sztuki Haliny Auderskiej „Zbiegowie" i sztuki Aleksandra Maliszewskiego „Droga do Czarnolasu".

W dniu 21 października o godzinie 17-tej zebranie Sekcji Przekładów. Temat twórczość Blasco Ibaneza (referuje Z. Szleyenowa).

W dniu 22 października zebranie Sekcji Poezji, z referatem M. Jastruna pt. „Współczesność a tradycja".

Książki

Obrazki znad Zatoki Gdańskiej

Andrzej Łepkowski — Ludzie znad zatoki. „Pax" 1952, str. 199.

Debiut prozaiczny Andrzeja Łepkowskiego, który dotychczas tworzył na polu poezji i sztuk plastycznych, trudno właściwie nazwać powieścią. Prawie każdy z dwudziestu kilku rozdziałów „Ludzi znad zatoki" wprowadza nowe postaci, a co ważniejsze nowe problemy. Jedyną niemal łączącą je więzią to akcja, toczące się na terenach przyległych do zatoki Gdańskiej oraz luźne i mniej lub więcej przypadkowe powiązania między poszczególnymi bohaterami.

Powszechnym zwyczajem debiutantów Łepkowski chce poruszyć zbyt wiele tematów W wyniku — żaden z wątków nie jest opracowany do końca, lecz tylko zaznaczony szkicowo.

Autor pokazuje swoich bohaterów w różnych i dość przypadkowo dobranych okolicznościach, większość momentów węzłowych ich życia zbywa milczeniem lub ogranicza się do opisania ich w formie relacji Ten sposób pisania uniemożliwia Łepkowskiemu pełniejsze zarysowanie dziejów poszczególnych postaci. Spod pióra autora wymykają się dokonujące się w nich przemiany psychiczne, a tym bardziej szersze tło i przyczyny takiego, a nie innego postępowania bohaterów.

W rezultacie zamiast pełnego obrazu okresu okupacji hitlerowskiej w Gdańsku i na Kaszubach, otrzymujemy szereg statycznych, niepowiązanych ze sobą i oderwanych od tła społecznego, obrazków. Ten nawrót do impresyjnej techniki pisania ułatwiającej pomijanie podstawowych problemów społecznych — mówi wiele o braku rzetelnych metod poznawczych u autora, debiutującego w „Pax"-ie.

Przyjrzyjmy się teraz temu, co pokazuje Łepkowski w wybranych przez siebie fragmentach Akcja książki dzieje się w okresie od zajęcia Pragi przez Niemców do upadku Hitlera. Można przypuszczać, że wybierając ten właśnie czas autor zamierzał pokazać czytelnikowi zbrodnie hitleryzmu. Na kartach książki spotykamy rzeczywiście i obóz koncentracyjny w Stutthofie, i działalność gestapo w Gdańsku, i akcję szpiegowską, poprzedzającą napad na Polskę. Sylwetki hitlerowców tworzy jednak autor przy pomocy często drastycznych, ale w gruncie rzeczy powierzchownych rysów okrucieństwa czy zboczenia, bez głębszej charakterystyki hitleryzmu, nie mówiąc już o pokazaniu jego społecznych źródeł.

Niezbyt jasna i mało prawdopodobna jest przemiana ideologiczna Helmuta Storcha, wychowanka szkoły policyjnej w Berlinie, szpiega i oficera gestapo, który, w miarę zbliżania się Armii Czerwonej, stopniowo rozczarowuje się do hitleryzmu Autor próbował wprawdzie przemianę tę wytłumaczyć klęskami Hitlera oraz wpływem żony, w wypadku jednak tak „zaawansowanego" gestapowca jest to zbyt nieprawdopodobne.

Podobnie jak hitlerowców — również i inne postacie charakteryzuje Łepkowski głównie przy pomocy cech zewnętrznych, powierzchownych, bez uwzględnienia cech psychicznych. Bohaterów pozytywnych obdarza on chętnie rysami nieprzekonywającego poświęcenia i jakiejś abstrakcyjnej dobroci, podkreślając ich szlachetność przy pomocy patetycznych deklaracji.

Błędem ogólnym autora jest wyraźna tendencja do opisywania scen o silnym napięciu uczuciowym, które próbuje osiągać przy pomocy mniej lub więcej patetycznych efektów.

Stosunkowo najlepiej udają się Łepkowskiemu postaci drugoplanowe (Babiszowie, Jankowscy, stary Majewski), które umie on paroma rysami scharakteryzować. Trzeba mu także przyznać duży talent w trafnym szkicowaniu sytuacji, oraz w skrótowym przedstawianiu pewnych zagadnień (scena w gospodzie „Ratuszowej". nastroje rybaków podczas wojny).

Poważne niebezpieczeństwo stanowi jednak dla niego pewne efekciarstwo stylistyczne. przejawiające się w sztucznych i zbyt wyszukanych porównaniach i obrazach.

Zbigniew Wilski

Spotykam Moltkego na kolacji w poselstwie holenderskim. Skarży mi się on, że Zachód absolutnie nie jest w stanie zrozumieć prawdziwych intencji Hitlera, przede wszystkim nie wierzy się w jego oświadczenia pacyfistyczne. Dowodem tego niezrozumienia są ustawiczne aluzje do „Mein Kampf", dzieła napisanego w specjalnych warunkach, które nie może już być uważane za hitlerowskie wyznanie wiary.

MOLTKE DYRYGUJE MANIFESTACJĄ PATRIOTYCZNĄ W STOLICY:

Moltke zarządza...

24 kwiecień 1935.

Moltke mówi mi, że dowiedział się z dzienników o uroczystości 3 maja, przygotowywanej w Warszawie. Ponieważ jest to zarazem rocznica powstania śląskiego, 5.000 uczestników walk ma przedefilować przez miasto w ciągu dwudniowego obchodu. Specjalny komitet przygotowuje to święto, któremu patronować będzie były premier Kozłowski, z udziałem Kościałkowskiego i generała Sławoj-Składkowskiego, podsekretarza stanu w ministerstwie wojny. W związku z tym Moltke mnie ostrzega, że podobna manifestacja zbyt rzucałaby się w oczy, byłaby komentowana nie tylko w Niemczech, lecz także za granicą, i dlatego należy jej uniknąć.

Szembek się przychyla...

27 kwiecień 1935. Rozmowa z Beckiem.

Oświadczam Beckowi, że, według mojego zdania, wziąwszy pod uwagę naszą politykę dobrosąsiedzką z Niemcami, oraz deklarację o stosunkach polsko - niemieckich, złożoną przez Goeringa na ręce Lipskiego — byłoby lepiej, gdyby manifestacja się nie odbyła.

Beck wykonuje.

29 kwiecień. Rozmowa z Lubieńskim.

Lubieński mnie informuje, że Beck, w porozumieniu z premierem, zdecydował odwołać manifestację śląską. Uzgodniono, że tylko 200 byłych powstańców przybędzie do Warszawy, by wziąć udział w defiladzie w dn. 3 maja.

Tego samego dnia. Rozmowa z Beckiem.

Minister raz jeszcze stanowczo zarządza, by manifestacja się nie odbyła Sprawę tę omówi z premierem Sławkiem, w poniedziałek 29, gdy ten wróci do Warszawy.

Zaznaczam ze swej strony, że manifestacja powstańców śląskich byłaby niezgodna nie tylko z duchem, ale nawet z odpowiednim paragrafem ugody polsko-niemieckiej. Dodałem, że nie wyobrażam sobie podobnej demonstracji, na przykład między Rumunią i Węgrami, mimo że kraje te są w stosunkach bez porównania gorszych niż my z Niemcami.

CHOROBA PIŁSUDSKIEGO I JEGO TESTAMENT POLITYKI PRO-NIEMIECKIEJ

6 maj 1935

Kapitan Lepecki *(oficer służbowy Piłsudskiego)* zwrócił się do mnie z prośbą o sprowadzenie do Warszawy prof. Wenckenbacha *(sławny wiedeński specjalista od raka — przyp. nasz)*.

10 maj 1935. Rozmowa z Beckiem.

Beck mnie informuje, że stan marszałka jest bardzo poważny. Wczorajsza rozmowa jego z Beckiem trwała zaledwie kilka minut z powodu wyczerpania marszałka. Wezwał on ministra, by *nie odstąpił od obecnej linii naszej polityki zagranicznej, i nie dał się zasugerować prowokacjom czy próbom zastraszenia.*

HANDEL POLITYCZNY Z FRANCJĄ: KAPITALIŚCI Z ŻYRARDOWA I GÓRNICY Z PAS-DE-CALAIS

11 maj 1935. Konferencja z Lavalem*).

Uczestniczą: Laval, Beck, Léger *(przedstawiciel Quai d'Orsay)*, Laroche i ja.

Tematem są stosunki polsko-francuskie. Zdaniem Lavala jest kilka „spraw" utrudniających normalny rozwój przyjaźni: afera Żyrardowa, — trzeba znaleźć sprawiedliwe rozwiązanie tego zagadnienia. Laroche mówi, że Boussac *(właściciel akcji Żyrardowa — przyp. nasz)* gotów jest sprzedać swój udział wspólnikom polskim. Beck dodaje, że nie zamierza zgłębiać tej sprawy, i deklaruje się jako zwolennik rozsądnego jej zakończenia.

Beck podnosi z kolei problem polskich robotników we Francji. Laval odpiera natychmiast, że robi wszelkie możliwe wysiłki, by sprawa ta nie odbiła się niekorzystnie na naszych stosunkach. Musi jednak zwrócić nam uwagę, że zagadnienie to łączy się z obecnym okresem bezrobocia: rząd, pod naciskiem opinii, nie może rezerwować pracy dla cudzoziemców, zanim nie zapewni jej wszystkim Francuzom.

„CZY POLSKA ZAATAKUJE CZECHY?" BECK ODMAWIA ODPOWIEDZI

Pod koniec rozmowy Laval wraca do zlecenia, jakie mu przekazał Benesz *(jest to próba pośrednictwa między Polską a Czechami — przyp. nasz)*. Beck jednak powtarza, że Benesz może się z nami porozumieć bezpośrednio, na co Laval odpowiada, że idzie tu o sprawę do pewnego stopnia interesującą Francję: Benesz go pytał, czy w wypadku agresji niemieckiej na Czechosłowację (co zobowiązuje Francję do natychmiastowej pomocy, według układu wiążącego dwa kraje), czy wówczas Polska zaatakuje Czechy? Na to Beck: *„Zechce pan, panie premierze, zakomunikować p. Beneszowi, że odmawiam odpowiedzi. Jest to pogląd oficjalny i ostateczny naszego rządu"* (C'est le point de vue catégorique et officiel du gouvernement polonais)

Po tym oświadczeniu Laval dowiaduje się o liczbę Polaków zamieszkałych w Czechach, i wreszcie, sumując rozmowę o Czechach, zwraca się do Becka z zapytaniem: „Czy mógłbym być panu pomocny w tej sprawie?" „Nie sądzę" — odpowiedział Beck, po czym zakończyliśmy konferencję.

DLACZEGO GOERING SZEDŁ PIERWSZY ZA TRUMNĄ PIŁSUDSKIEGO?

12 maj 1935. Śmierć marszałka Piłsudskiego.

Późnym wieczorem generał Sławoj-Składkowski telefonuje do mnie: „Komendant nie żyje!"

13 maj 1935. Rozmowa z Beckiem.

Minister zawiadamia mnie o dyspozycjach wydanych po śmierci marszałka. Wyraża zadowolenie z mianowania Śmigłego - Rydza. Stwierdza następnie, że jest rzeczą niezmiernej wagi, by zgon marszałka nie przerwał normalnej działalności organów państwowych. Idzie przede wszystkim o nasze ministerstwo: należy udowodnić zagranicy, że zniknięcie marszałka nie pociągnęło za sobą dezorganizacji życia w Polsce.

15 maj 1935.

Rozmowa z Beckiem. Minister studiuje sprawozdanie z pogrzebu króla Aleksandra (Jugosłowiańskiego). Zastanawia się w szczególności nad porządkiem, w jakim delegacje mają kroczyć w orszaku żałobnym Oświadczam, że najlepszym rozwiązaniem jest zastosowanie „protokółu wiedeńskiego", tzn. kolejności alfabetycznej. Minister przyznaje mi rację i postanawia posłużyć się porządkiem ustalonym przez procedurę Ligi Narodów *(tj. w jęz. francuskim, gdzie „Niemcy — „Allemagne", znajdują się na początku listy — przyp. nasz)*.

18 maj 1935. W Krakowie dzień pogrzebu marsz. Piłsudskiego.

Rajchman *(minister handlu i przemysłu)* podchodzi do mnie i wysuwa liczne zastrzeżenia na temat kolejności przedstawicielstw zagranicznych w orszaku za trumną marszałka. Podkreśla, że chociaż nie uważa się za frankofila, to jednak ocenia jako wysoce niestosowne, że delegacja niemiecka znajduje się na czele. Tłumaczę mu, że posłużyliśmy się normalnym porządkiem alfabetycznym, i że inny układ nastręczałby nowe trudności, bo np. Goering pełni funkcję premiera (Rajchman utrzymuje, że w pierwszym rzędzie powinni iść marszałkowie, tj. Pétain, Cavan i Presau**).

CO SPRZYMIERZENCY WIEDZĄ O POLSCE

Wieczorem Beck opowiada mi parę anegdot, np usłyszaną przez jednego z dyplomatów zagranicznych rozmowę między Pétainem i Lavalem. Na widok oddziału marynarki wojennej, defilującej przed trumną marszałka następuje taka wymiana zdań: „Jak to, czy oni mają też flotę?" „Zdaje się, ale w jakim porcie?" „Być może w Gdańsku?". Dopiero amb. Laroche wyjaśnił im, co to jest Gdynia.

NAD ZWŁOKAMI PIŁSUDSKIEGO BECK POŚREDNICZY MIĘDZY LAVALEM I GOERINGIEM

18 maj 1935. Kraków, dzień pogrzebu marsz. Piłsudskiego.

Po obiedzie Moltke *(ambasador Niemiec w W-wie)* podszedł do mnie i zapytał, jaki program przewidziany jest na wieczór, bo konsul niemiecki w Krakowie chciałby wydać przyjęcie na cześć Goeringa, ale obawia się zakłócić porządek ceremonii oficjalnych *Zrozumiałem, że idzie o zaaranżowanie spotkania Goeringa z Lavalem* i wysłałem natychmiast radcę Morstina (przedstawiciel Protokółu dyplomatycznego w MSZ — przypp nasz.) do Becka, do Hotelu Francuskiego, z zapytaniem czy Goering mógłby być również zaproszony na dzisiejszą kolację, wydawaną na cześć Lavala w pałacu „Pod Baranami".*

Morstin wrócił z wiadomością, że Beck się zgadza, ale prosi, by upewnić się najpierw, czy Francuzom spotkanie jest na rękę. Zapytałem więc Laroche'a, czy Laval nie miałby nic przeciwko temu, by Potoccy (właściciele pałacu „Pod Baranami") zaprosili również Goeringa, z którym Niemcy nie mają co robić tego wieczoru Ambasador Francji odpowiedział, że upewni się u Lavala, i że „istotnie, to by było niezłe". Zaproponowałem, byśmy się udali natychmiast do Hotelu Francuskiego, do Becka i Lavala. Laroche poszedł do Lavala, ja zaś do Becka, który mi powiedział, że spotkanie dwóch mężów stanu już nastąpiło podczas obiadu w hotelu, i decyzja co do drugiej wspólnej rozmowy należy do Francuzów. Za parę chwil Laroche zszedł z Lavalem, który zwracając się bezpośrednio do mnie powiedział mi, że spotkałby chętnie Goeringa na kolacji ale że ma go też widzieć o godz 6-ej. i że „dwa spotkania w ciągu jednego dnia byłoby za wiele, stanowiłoby to sensację dla prasy".

BECK: „TERAZ MOŻEMY JESZCZE BARDZIEJ ZWIĄZAĆ SIĘ Z NIEMCAMI

21 maj 1935. Rozmowa z Beckiem.

Opowiedziałem ministrowi moją rozmowę z Lavalem, on zaś streścił mi, co usłyszał od Goeringa. Z tego co mówi Goering wynikałoby, że spotkanie jego z Lavalem w Krakowie nie dało nic konkretnego, ale Goering był zadowolony, że wreszcie *nawiązał kontakt z Lavalem*. Goering raz jeszcze zaprosił Becka z oficjalną wizytą do Berlina. Beck dochodzi do wniosku że *obecnie, po spotkaniu Lavala z Goeringiem, Francuzi nie mogą mieć nic przeciwko wizycie polskiej w Berlinie.*

Opr. **Zygmunt Kałużyński**

(Dalszy ciąg nastąpi)

*) wówczas francuski minister Spraw Zagr., potem premier w kolaboracyjnym rządzie Petaina w Vichy, stracony po wyzwoleniu Francji

**) Cavan — marszałek angielski, Presau — rumuński

nożyce

Co myślano naprawdę o przedwojennych wyborach?



Było to w zeszłym roku. Pewien stary działacz partyjny powiedział mi:

— Pamiętam, było to w czasie wyborów 1922 r. Byłem wtedy w Zagłębiu. Z literaturą wyborczą było ciężko. Policja konfiskowała co się dało z broszur i odezw Związku Proletariatu Miast i Wsi. Wśród tych materiałów było wtedy i pismo satyryczne. Jeśli je dostaliśmy to nam wspaniale pomagało w robocie.

Stary towarzysz nie mógł sobie jednak przypomnieć nazwy tego pisma satyrycznego. Odnaleźliśmy je w skarbnicy pamiątek polskiego ruchu robotniczego — w archiwum Wydziału Historii Partii. Pismo to nosiło nazwę „Miotła". Ponieważ warunki „demokratyczne" nie pozwoliły na stałą rejestrację tytułu i pismo ukazywało się na prawach jednodniówki, „Miotła" nosi z numeru na numer coraz to inne przymiotniki — jak „świeża", czy „senatorska".

Ówczesne wybory do sejmu odbywały się 5-go listopada, a do senatu — 12go listopada. Trzydzieści lat temu. Lista komunistyczna (pod nazwą Związku Proletariatu Miast i Wsi) nosiła numer piąty. Główne swe siły reakcja skupiła wówczas wokół listy Chrześcijańskiej Jedności Narodowej (Chjena) będącej nowym, oszukańczym pseudonimem Narodowej Demokracji, a noszącej numer ósmy. Tę ósemkę wyobraża pierwsza strona „Miotły" z dnia wyborów sejmowych — w postaci złośliwego insekta panoszącego się nad Polską. Pod rysunkiem fraszka:

Zajadła pluskwa wpiła się w ciało olbrzyma,
piszcząc: „Tym olbrzym silny, że go pluskwa trzyma."
— Nie chwal się — mruknął olbrzym na takie gadanie,
— bo jak cię w palcach ścisnę, smród jeno zostanie!

Satyra „Miotły" była bezkompromisowa i wymowna. Po trzydziestu latach przemawia do nas w sposób całkiem zrozumiały. Co do joty sprawdzić się miały przewidywania satyrycznej historyjki „Wiwat ósemka! (Obrazki niedalekiej przyszłości)". Powtórzyć ją można dzisiaj z nowym morałem: tak by nas chcieli urządzić Zarembowie, Mikołajczykowie i Andersowie. Ale polscy robotnicy nie chcą emigracji do Konga. Zwiększenie wydajności pracy, mechanizacja w naszych warunkach nie jest przekleństwem, niosącym bezrobocie, lecz dźwignią postępu, wzrostu produkcji i rozwoju gospodarczego.

W roku 1928 satyra również pospieszyła z pomocą w agitacji wyborczej. Redaktorem jednodniówki „Kaczka republikańska", z której reprodukujemy całą stronę, zapełnioną wymownymi rysunkami był — Władysław Broniewski. Rysownikiem generalnym — Władysław Daszewski. Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem to lista sanacji, od dwóch wówczas lat rządzącej Polską. Komitet Katolicko-Narodowy (w skrócie — Kanar) to Chjena z wyborów poprzednich, uszminkowani bardziej niewinnie i opozycyjnie.

Opublikowanie dziś — po raz pierwszy o ile się nie mylimy — tych kilku karykatur z „Miotły" i z „Kaczki republikańskiej" mówi niemało o roli satyry. Niewątpliwie „Miotła" i Kaczka republikańska" stanowią zapomniane dotychczas, ale warte przypomnienia etapy rozwoju polskiej satyry narodowej, satyry bojowej, postępowej, służącej ludowi. Rozwijanie tych tradycji stanowi dziś najbardziej aktualne zadanie naszych satyryków i karykaturzystów. Do bogactwa, obfitości narodowych tradycji polskiej satyry i karykatury przybywa nowy element, bardzo cenny i bardzo ważny.

Co może, ile może ta mądra satyra, to widać ze wszystkich rysunków dających niesfałszowany, jak najbardziej przekonywający obraz tamtej Polski i tamtych, pożal się Boże, „demokratycznych" wyborów lat 1922 i 1928.

A szczególną uwagę zwróćmy na obrazek z „Miotły" przedstawiający Piłsudskiego na drewnianym koniku z pepesowskim ogonkiem, podtrzymywanego przez wilhelmowskiego żołdaka. Na postaci przywiązanej do żołdackiego paska napis: „Do Essen! Szybki transport bydła roboczego!"

Ta karykatura — przypomnijmy sobie raz jeszcze — pochodzi sprzed lat trzydziestu. Zawarta w niej została w najwymowniejszym skrócie cała nasza dzisiejsza wiedza o Piłsudskim, jego roli, o piłsudczyźnie i o roli pepesowskich przywódców; dano w niej wyraz wszystkim agenturowym cechom tych sił, duszących przez wiele lat lud polski. Przypomnieć tę karykaturę warto dzisiaj, gdy potomkowie duchowi Piłsudskiego, a ci sami nieraz pepesowscy wodzireje siedzą na podobnym koniku. Tyle że już nie tylko największej, ale w ogóle żadnej kariery w Polsce nie zrobią.

Ta karykatura ujmuje w swych liniach kilka dziesiątków lat historii Polski. Ona przeżyła, przetrwała tak długo, bo to, o czym mówi, to prawda. Te imperialistyczne agentury to nie — jak jeszcze myślą niektórzy — bajki o Rybaku i rybce, ale wielka prawda historii.

Jan Szeląg



— Litościwy rodaku, daj bohaterowi oczyścić buty!

„Tak, panowie, ja zrobiłem w Polsce największą karjerę" (z gazet)



Jak się robi w Polsce największą karjerę. (1914 1915 1916)

„5 listopada wszyscy spełnili swój obowiązek!" (z Dwugroszówki).



— Cóż ty, durniu! Nie widzisz, że piątka wisi, a ty jej nie zdzierasz!


KACZKA REPUBLIKAŃSKA

ILUSTRACJE WYBORCZE

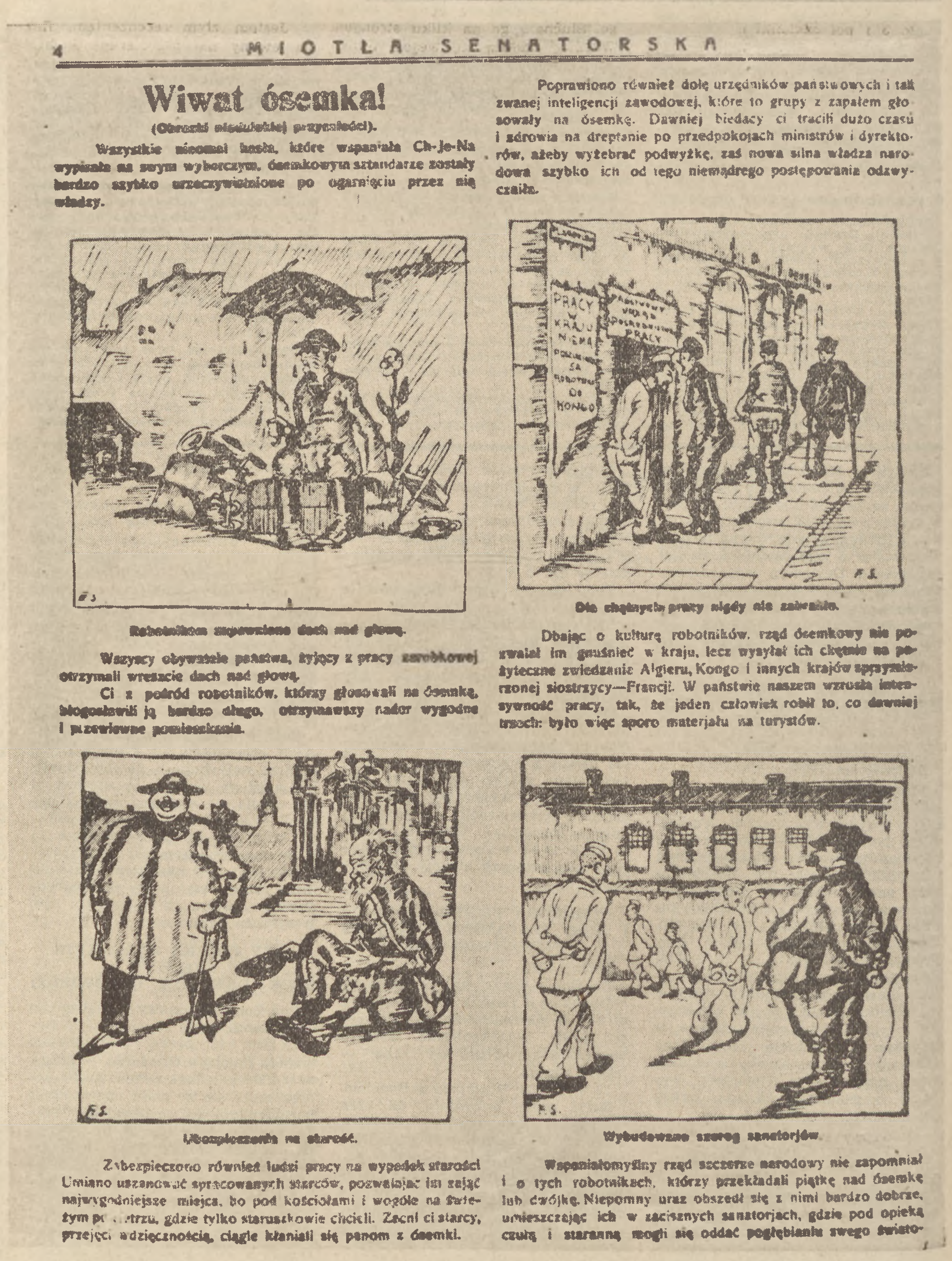
Bezpartyjny blok współpracy z Rządem

Lewica radykalna

Komitet katolicko-narodowy

Jedność robotniczo-chłopska

Ppies i dziadek


4 MIOTŁA SENATORSKA

Wiwat ósemka!

(Obrazki niedalekiej przyszłości).

Wszystkie niemal hasła, które wypisała Ch-Je-Na wypisała na swym wyborczym, ósemkowym sztandarze zostały bardzo szybko urzeczywistnione po ogarnięciu przez nią władzy.

Poprawiono również dolę urzędników państwowych i tak zwanej inteligencji zawodowej, które to grupy z zapałem głosowały na ósemkę. Dawniej biedacy ci tracili dużo czasu i zdrowia na dreptanie po przedpokojach ministrów i dyrektorów, ażeby wyżebrać podwyżkę, zaś nowa silna władza narodowa szybko ich od tego niemądrego postępowania odzwyczaiła.

Robotnikom zapewniono dach nad głową.

Wszyscy obywatele państwa, żyjący z pracy zarobkowej otrzymali wreszcie dach nad głową.

Ci z pośród robotników, którzy głosowali na ósemkę, błogosławili ją bardzo długo, otrzymawszy nader wygodne i przewiewne pomieszkania.

Dla chętnych pracy nigdy nie zabraknie.

Dbając o kulturę robotników, rząd ósemkowy nie pozwalał im gnuśnieć w kraju, lecz wysyłał ich chętnie na pożyteczne zwiedzanie Algieru, Kongo i innych krajów sprzymierzonej siostrzycy—Francji. W państwie naszem wzrosła intensywność pracy, tak, że jeden człowiek robił to, co dawniej trzech: było więc sporo materjału na turystów.

Ubezpieczenia na starość.

Zabezpieczono również ludzi pracy na wypadek starości. Umiano uszanować spracowanych starców, pozwalając im zająć najwygodniejsze miejsca, bo pod kościołami i wogóle na świeżym powietrzu, gdzie tylko staruszkowie chcieli. Zacni ci starcy, przejęci wdzięcznością, ciągle kłaniali się panom z ósemki.

Wybudowano szereg sanatorjów.

Wspaniałomyślny rząd szczerze narodowy nie zapomniał i o tych robotnikach, którzy przekładali piątkę nad ósemkę lub dwójkę. Niepomny uraz obszedł się z nimi bardzo dobrze, umieszczając ich w zacisznych sanatorjach, gdzie pod opieką czułą i staranną mogli się oddać pogłębianiu swego świato-

Materiały zaczerpnięte z Instytutu Historii Ruchu Robotniczego przy KC PZPR

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa ul. Wiejska 14. I piętro tel. 4-01-80 wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12 tel. 7-52-50. Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48 — Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/111, tel. 7-38-05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-17435